Cena 1 zł

GEMMA CIVITATIS · PAX ·

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII — Warszawa, dn. 19 lutego 1956 r. — Nr 7 (533)

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
cW 9013

JACEK ŁUKASIEWICZ

OKRĄŻENIE

SPIS przeprowadzony w 1921 roku podawał, że w Polsce 64,6 proc. stanowiły gospodarstwa do 5 ha. Posiadały one 14,8 proc. ziemi. Majątki ponad 50 ha stanowiły 0,9 proc., lecz skupiały 47,3 proc. ziemi. Nie posiadamy syntetycznych danych późniejszych, spis z 1931 roku operował tylko liczbą gospodarstw. O stanie posiadania w rolnictwie świadczą jedynie dane wycinkowe. Wydawnictwo Instytutu Ekonomiki Rolnej „Wieś w liczbach" podaje, że w 1933 roku uprawa buraka cukrowego — rośliny ściśle związanej z pojęciem dobrobytu — w 81,4 proc. skupiała się w wielkich majątkach a jedynie w 17,3 proc. uprawiali ją przeważnie bogaci chłopi. Zadłużenie wsi w przeliczeniu na 1 ha gospodarstw 2—50 ha wzrosło w okresie 1926 r. — 1933 r. z 127,96 zł do 341,61 zł. To są przeciętne: zadłużenie gospodarstw 2-3 hektarowych w 1933 r. wynosiło 690,97 zł. Chłop, który w 1929 r. kupił 57,7 tys. bron, w 1936 r. kupił ich 5,6 tys. Wzrastał nacisk wielkiej własności i dworów, rozdrabniały się małe gospodarstwa. Wśród bezrolnych badanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w 1935 r. 55 proc. stanowili ci, którzy zostali wyzuci z ziemi w ciągu jednego pokolenia. Odzyskać ziemię było coraz trudniej: w 1927 r. hektar ziemi wart był 51 q żyta, w 1934 r. — 167 q.

Szli więc chłopi na zarobek poza własne gospodarstwo. W rzeszowskim przed samą wojną spośród wewnętrznej migracji wśród tych, którzy dorabiali na wsi, 61,9 proc. pracowało w wielkich majątkach. Do miast szło niewielu: 7,1 proc. emigrantów. Postępowało zubiednienie ludności, rosły gromady szukające pracy — na dwór, który dawał pracę, zwrócone były ich oczy. Tak działo się przez lata. Kształtowały one sposób myślenia chłopa żyjącego w izolacji od szerokiego świata i od „nowinek". (Jedna szkoła 7-klasowa obsługiwała 17 gromad, 27 chłopów dzieliło się jednym tomem w bibliotece gminnej). Taki był niełatwy spadek starych czasów.

Nie jest to reportaż o wsi zwyczajnej, o wsi, w której nowe warunki życia i struktura społeczna szybko wypierają przeszłość. Takich reportaży ilustrujących dorobek Polski Ludowej czytaliśmy już wiele. Ten jest o wsi trudnej, tkwiącej jeszcze głęboko w tym, co było dawniej. Wsi, na której wieki wywarły takie piętno, że chłopu przywykłemu do starodawnego porządku świata niełatwo jest uwierzyć w zmianę, niełatwo jest myśleć inaczej. Sądzimy, że po to, by zrozumieć problemy, o których dziś dyskutujemy, dobrze jest sięgnąć również do spraw najtrudniejszych, takich, które choć w swej ostrości nietypowe sięgają przecież do źródeł konfliktów.

REDAKCJA

I

W każdej chwili przeżywamy patos współczesności, potem okrywa się on patyną czasu. Nabiera barw dojrzalszych a może — jak odleżały owoc — staje się bardziej pomnikowy, sztuczny, zafałszowany. Prawdziwy jednak patos należy do każdej z chwil, jest to patos autentyczny, prowokujący do szukania początków, działania, zmieniania. Nazwałbym to patosem reportażu.

Po prostu małe podgórskie miasteczko przesycone zapachem targu i ostrego wiatru od Przełęczy Dukielskiej. Po prostu solidna sylweta farnej dzwonnicy starej, niewzruszonej. Spokojne, pobielane podcienia otaczają koci bruk rynku, pamiętający jeszcze czasy Porcjuszów. Po podcieniach pałętają się ludzie: jakaś dziewczynka osiemnastolatka w żółtej ciuchowej sukience, opala nogi siedząc na kamiennych stopniach. Milicjant wdaje się w dyskusję z tęgą babą zza Dukli, która przyniosła tu na sprzedaż opałkę drewnianych mątewek. Milicjant ma strój sprzed roku. Nie dotarły tu bowiem jeszcze nowe mundury, Ziemia Rzeszowska jest konserwatywna nawet w tak błahych szczegółach. Zajeżdża pyrkocący PKS, tzw. kurnik, który zabiera z reguły 1/4 chętnych. Na spokojnym rynku zaczyna się burza. Konduktorki muszą tu być bardzo silne. Zegar bije trzecią po południu. Jest leniwie, sennie, spokojnie. Tutaj czuje się patos współczesności.

Jeśli wytężyć wzrok widać ruiny Odrzykonia, skały Prządek. W czasie akcji wyborczej posypały się tam głazy na samochód agitatorów Frontu Narodowego. Cudem uszli z życiem. W tym to zamku toczył się niegdyś słynny spór. Stary Firlej podnosił oczy do góry i szeptał „Niech się dzieje wola nieba..." i nie dopuszczał do zamkowej studni ludzi pana Skotnickiego. Długie lata pęczniały akta procesu o studnię. Potem rozwalono... mur graniczny. Z tych okolic pochodzi Aleksander Fredro.

Tak, tu się wyczuwa autentyczny patos współczesności, można poznać prawdziwy charakter tych ziem. Ale jaki jest ten właściwy charakter?

Mówią: Kresy. Tędy przebiegała granica KOP-u. Polska B, która po dziś dzień przetrwała. Mówią: Nafta. Ignacy Łukasiewicz stoi na pomniku przed pocztą z poczciwym wyrazem twarzy firmując teren starożytnym modelem skonstruowanej przez siebie lampy. Niektórzy każą jechać do pobliskiego Żarnowca. Tam mieszkała Konopnicka. Ona znała sprawy ludu. W Żarnowcu znajdziecie, kolego, klucz.

No i Łukasiewicz, Konopnicka, pompa i orkiestra straży pożarnej, ks. Stojałowski i nienaganni urzędnicy. Przecież to była Galicja. Nie należy o tym zapominać, jeśli pamiętają o tym mieszkańcy tych ziem. I jeszcze mówią: ruch ludowy, tu przed wojną strajki na wsi bywały, zielone sztandary przemieniano w czerwień. Tam, kolego, poszukajcie. A jeszcze inni, zasłaniając usta dłonią, przeraźliwie szepczą: Panie, przecież to reakcja, tutaj z aktywistami krewa. A rynek w Krośnie piękny, jasny, spokojny. W podziemiach pustki, nie to, co parę lat temu, kiedy nie przeszedłeś spokojnie między kramami, waluciarzami, handlarzami wszystkiego, co można było w tych stronach, gdzie ludzie mają masę krewnych w Ameryce (emigracja zarobkowa) i dostają od nich paczki, zaoferować. Dziś dziewczyna w żółtej sukience opala zgrabne nogi, a chłop w granatowym deszczowcu, spod którego wygląda włos kożucha, zmierza powolnym krokiem do jednokonnej furmanki z tabliczką „Kopytowa".

I wtedy mogę jasno zaryzykować stwierdzenie. Charakter tych ziem, to charakter chłopa z Kopytowej. Urzędnicy z różnych epok i hreczkosiejscy myśliciele z różnych epok przykładali tu swoje pieczątki. Ale pieczątki niektóre odpadły, inne trwają, mimo że odpadli ich właściciele, a charakterem tych ziem pozostał charakter chłopa z Kopytowej. Jeśli ma się tak nieokreślone zamierzenia reporterskie, jak ja w tej chwili, to trzeba się udać, pod wszystkie usłużnie podane wyżej firmy i tam szukać odpowiedzi na pytanie: jaki jest charakter chłopa z Kopytowej. Niech ta wycieczka będzie wycieczką historyczną ze śmiałym zamierzeniem niwelowania historii. Do samej Kopytowej nawet nie ma po co zajeżdżać. Byłem tam kiedyś — wieś jak wszystkie z ładnym modrzewiowym dworkiem. Oczywiście wieś indywidualna. I ludzie tam, jak wszędzie w tych stronach, jak pod Żmigrodem, od Dukli i od Jarosławia.

II

OTO jest wieś X. Nazwy nie wymieniam. Każdy, kto się orientuje w tamtych stronach, łatwo ją odnajdzie na bardziej szczegółowej mapie. Jest dokładnie umiejscowiona w trójkącie Zręcin-Dukla-Żmigród.

Wieś X jest odległa od wszelkich traktów. Do kolei kilkanaście kilometrów. Do końcowego przystanku kurnika - PKS-u około dziesięciu. Wojna przewalała się tędy długo, bardzo długo. Jak ugrzązł tutaj front we wrześniu 1944, tak ruszył dopiero w styczniu 1945. Nie zostało więc wiele chałup w tej wsi. Ocalał jeden werżnięty w las przysiółek. Domy paliły się, jak pudełka zapałek. Budowano je przenośnie z okrąglaków. Dziewczyna dostając w wianie połowę chałupy, albo ją spłacała, albo — gdy nie mogła pogodzić się z współwłaścicielem — porządnie rozbierała i na wozie przewożono tę połowę na grunt mężowski. Przeważały strzechy, a belki przesycano ropą naftową, o którą nie było tu trudno. Drzewo się nie psuło. Nic więc dziwnego, że pierwsze dni frontu spopieliły niemal wszystko. Dwór był stary, kamienny. W jego piwnicach ulokował się radziecki sztab. Dwór dostał taką ilość pocisków, że pozostały z niego strzępy. Strzępy te jednak załatano jak się dało i zaraz po froncie mieszkali tu pogorzelcy. Ktoś zaprószył ogień. To, co mogło powtórnie spłonąć, spłonęło. Dziś po zabudowaniach dworskich nie ma ani śladu. Ostatnie kamienie wydarto z ziemi i użyto na fundamenty w odbudowie wsi. Po dworze pustka i pasą się na nim krowy, ale wieś stanęła. I to, trzeba powiedzieć stanęła lepsza, ładniejsza, domy szersze, wszystkie pod blachą, zabudowania częściej niż dawniej wzniesiono osobno. We wszystkich izbach są podłogi. Klepiska przeszły do historii. A wiadomo, kto będzie w izbie z podłogą trzymał kurczaki i wieprzka, wstydu nie ma. Podłoga paradna rzecz. To zostało z dawnych czasów. Z tych dzieci, które uczył tu w latach wojny pan nauczyciel Krąg, mało które jest we wsi. Kilkoro zginęło w czasie frontu, czy później przy zabawie minami, niewypałami itp. nowoczesnym sprzętem rozrywkowym, którego pełno było wszędzie. Ale większość jest na Zachodzie. I choćby nawet tym „Zachodem" był wojewódzki Rzeszów, czy nie tak daleki Kraków, to się mówi, poszły na „Zachód", tak jak się mówiło „pojechali do Ameryki", choćby ta podróż kończyła się w kopalniach zagłębia Zille. Na gospodarkach pozostali przede wszystkim starsi i nieliczni, którym marzy się „Zachód" rodzeństwa. I podobnie jak dawniej „Ameryka" była synonimem dobrobytu, tak teraz w mniejszej skali, bo kontrolowanej bardziej namacalnym doświadczeniem, podobnym synonimem stał się „Zachód".

Tak więc jesteśmy przy dwu zagadnieniach. Są to problemy: „dwór" i „Zachód" — problemy, które w skrócie omawiają: pierwszy postawę polityczną i społeczną, drugi — problem tak dla Rzeszowskiego województwa palący, jakim jest zagadnienie migracji. W badaniu pierwszym musiałem iść na łatwo sprawdzalne fakty we wsi X i zaufane rozmowy. Jest bowiem oczywiste, że statystyk przekonań się nie prowadzi. Zagadnienie migracji jednak dobrze by było oprzeć nie na „nosie" lecz na obiektywizujących pewnych liczbach. Statystyki może się i prowadzi. W części je posiadać winien Wojewódzki Zarząd Rolnictwa w Rzeszowie. Ale diabła zje, komu je udostępnią. W WRN posyłają dziennikarza od Annasza do Kaifasza według kompetencji. A potem się nagle okazuje, że kompetencje gdzieś się ulotniły. Nie mogę więc operować liczbami, choć nikt mi wyraźnie tych liczb nie odmówił.

A WIĘC dwór. We dworze służba gnieździła się na słomie po strychach, zamieszkiwała stajnie, świniarka spała w pustym chlewie. Służba jadła postny żur i odciągane kwaśne mleko z ziemniakami. Tak w kółko: żur i ziemniaki. We dworze można było zarobić. A we wsi w jednym przysiółku były jeszcze kurne chaty i nieraz przyszło biedniejszemu spać w stajni przy krowinkach, albo też krowinkę wpuścić do izby, co właściwie na jedno wychodziło, zważywszy, że takie samo klepisko było w stajni, jak i w izbie. Jedna z osób, którą obdarzam największym szacunkiem, urodziła się we wsi X jako piąte dziecko z rzędu, potem było jeszcze dzieci siedmioro, na półtora morga gruntu. Mięso było raz do roku. Chleb — cztery razy do roku. Ta kobieta opowiadała mi niedawno, jak to jej matka, pochodząca z trzeciej wsi była w czasach panieńskich świadkiem rżnięcia piłą dziedzica w 1846 r. W tej trzeciej wsi w dwudziestoleciu zdarzył się taki wypadek. Zginął w dwudziestym roku ukochany syn państwa. Rodzice, ludzie bogaci, chcieli wznieść pomnik w miejscowym kościółku parafialnym. Ale ludzie się nie zgodzili, zwykle łasi na przekupstwa, tym razem się nie dali przekupić. Nie będziemy się modlić za pana dziedzica, nie i nie. Nie będziemy.

We wsi X panował spokój. I tu w roku 1944 dwór zginął. Po prostu widomie i namacalnie starty został z powierzchni ziemi. Jest w tym miejscu łączka. Na łączce pasą się krowy. Ktoś nawet pobudował się na dworskim. Do dziś powtarza się pytanie: i co teraz będzie? Do dziś powtarza się pytanie: co będzie jak się zmieni?

Zaraz, jak tylko przyjechałem ciemną nocą, spotkałem Stanisława S., małorolnego. Rozmowa z nim (miałem okazję poznać go parę lat temu) była wprowadzeniem w pewną atmosferę.

Złapał mnie za rękaw. Panie, co będzie jak się zmieni. I kiedy się to zmieni. — Słuchałem w milczeniu. — Wrócą do dworu, czy nie wrócą, bo tu za tę ziemię się spłaca, co rok ratę ciągną, a jak wrócą, to im trzeba będzie oddać. Jakoś nie tak. I kiedy to się zmieni. Ale wojny to lepiej, żeby nie było. Żeby się zmieniło bez wojny. Bo te

(Dokończenie na str. 6)

El Greco Głowa Chrystusa (fragment obrazu)

Z Psalmów Dawidowych

Zmiłuj się nade mną, Boże, według wielkiego
miłosierdzia twego
i w wielkiej dobroci twojej zgładź winę moją.
Obmyj mnie zupełnie z nieprawości mojej,
z grzechu mojego oczyść mnie;
gdyż znam występek mój
i świadom jestem swej winy.
Przed tobą samym zgrzeszyłem
i wykroczyłem przed oczyma twymi;
ukaż się sprawiedliwym w wyrokach swych
i bez skazy w sądzie swoim.
Oto urodziłem się w nieprawości
i w grzechach poczęła mnie matka moja.
Tyś umiłował [illegible]
i objawiłeś mi mądrość ukrytą.

Pokrop mnie hyzopem, a będę oczyszczony,
obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję.
Daj mi usłyszeć radość i wesele,
niech się ucieszą me kości skruszone.
Odwróć oblicze twe od grzechów moich
i zgładź wszystkie moje nieprawości.
Stwórz czyste serce we mnie, Boże,
prawego ducha odnów we wnętrznościach moich.
Nie odtrącaj mnie od oblicza twego
i twego ducha świętego nie odbieraj mi.
Przywróć mi radość zbawienia twego
i duchem ochoczym umocnij mnie.
Będę grzeszników uczył dróg twoich
i bezbożni powrócą do ciebie.
Zdejm ze mnie krew, Boże, Boże zbawienia mego,
a sławić będzie mój język sprawiedliwość twoją.
Panie, otwórz wargi moje,
niech usta me głoszą twą chwałę.

Przełożył LEOPOLD STAFF

Tekst według wydania „Verbum"

ZBIGNIEW JAKUBIK — FELIETON PRZEKORNY

Spór o biografię

PO dziesięciu latach zaczęliśmy na szczęście mówić sobie wreszcie prawdę w oczy. Pierwszy, jak zwykle, wystąpił Lichniak. Nie jestem Lichniakiem, mogę podejrzewać więc, że jego artykuł o młodych krytykach katolickich ogłoszony w 41 nr „Dziś i Jutro" stanowi swoistą formę zamaskowanej kompensaty. Doskonały skądinąd wykład Z. Lichniaka na temat młodej i najmłodszej krytyki katolickiej nie wyczerpuje niestety problematyki, ponieważ: 1) jest atakiem personalnym; 2) pomija Lichniaka; 3) zastępuje argumenty inwektywami; 4) omawia skutki nie ukazując przyczyn. Nie chcę Lichniaka urazić, lecz wydaje się, że impasu, w jakim znalazła się młoda krytyka katolicka, nie da się zlikwidować nawet takim pamfletem-bumerangiem.

Będę mówił o rzeczach bardzo intymnych i bardzo bolesnych. Objawy kryzysu powojennej krytyki katolickiej (nie tylko najmłodszej) prześledzić można doskonale na pouczającej historii pewnego eksperymentu. Eksperymentalny spektakl został gruntownie zapomniany. Znudzona publiczność rozeszła się do domu, pierwszy amant ma wciąż jeszcze permanentny kociokwik.

Przypomnę szczegóły afery: Anno Domini 1953 na firmamencie „Dziś i Jutro" zjawiła się nowa wspaniała gwiazda: nieznany poeta — Mateusz Żurawiec opublikował zbiór wierszy pt. „Wiec w środku człowieka", Wiersze były polityczne, ergo tytuł przekalkowany odrobinę z Majakowskiego. W roku 1954 prozaik Mateusz Żurawiec ogłosił tom politycznych opowiadań pt. „Cierpkie winogrona". Zbiorek wierszy skwitowano recenzją. Tomik opowiadań — kilkudniową dyskusją. Sprawę Żurawca M. odfajkowano. W roku 1955 Lichniak zgalwanizował nieboszczyka na dwadzieścia minut. Po czternastu dniach Lichański rzucił ostatnią grudkę ziemi. *Sic transit gloria mundi...*

„Obie książki Żurawca — stwierdza autor żałobnego epitafium o Żurawcu — miały zintensyfikować — zwłaszcza w poczynaniach literatury katolickiej — gromadzenie pisarskiej wiedzy o złożonej rzeczywistości współczesnej, o jej wielkim unerwieniu moralnym, o związkach światopoglądowej godności własnej doktryny z konkretną postawą ideową wobec świata, z konkretnym stanowiskiem politycznym".

„Obydwie książki chciały skierować uwagę pisarzy i czytelników ku problematyce dziejącej się współcześnie rehabilitacji społecznej funkcji katolicyzmu, chciały ukazać tragizm konserwatywnego rozdziału między przekonaniami religijnymi a koniecznością doskonalenia porządku społecznego, chciały wreszcie wyeliminować z naszego życia kulturalnego sugestię, że pisarska wrażliwość katolików na moralne unerwienie problematyki i tematyki współczesnej wyraża się jedynie w milczeniu".

Nie wyszło...

Sądzę, że Lichniakowi jest przykro. Przykro, bo kochał Żurawca. Lichniak jednak trzyma fason. Już drugi raz zwymyślał grabarzy Żurawca. Przy tym wszystkim jednak Lichniak jest ambitny. Ambitny, więc bezbronny.

Nie jestem konsyliarzem ani preceptorem Lichniaka. Jestem początkującym literatem, który wstydzi się za rodzimą literaturę katolicką. Gdybym miał prawo oskarżać literaturę katolicką, oskarżyłbym tę literaturę przede wszystkim, że pozwoliła Lichniakowi stać się L i c h n i a k i e m.

To nie jest wina młodej czy najmłodszej krytyki. Onego czasu dobrzy katolicy powiedzieli do zdolnego, ząbkującego debiutanta: d a j! Debiutant oddał wszystko, co posiadał. Postawa wyciągniętej dłoni przerodziła się w przyzwyczajenie. Nie sprawdzano nigdy, co dawał. Później nieco, inni dobrzy katolicy pomyśleli lekceważąco o debiutancie: — Lichniaki przychodzą i odchodzą, literatura katolicka pozostaje! Spór o pryncypia trwał nadal. Były sprawy bardziej zasadnicze, niż troska o prawidłowy rozwój oryginalnej i nieprzeciętnej indywidualności. Były problemy bardziej palące od bezinteresownego pochylenia się nad zjawiskiem żywiołowej erupcji autentycznego talentu. Nieprzeciętna indywidualność radziła sobie zresztą doskonale. Ząbkujący debiutant przekształcił się w sztandarowego, następnie rutynowanego publicystę, Publicysta w o f i c e r a ł ą c z n i k o w e g o od spraw literatury. Wyłączność funkcji sprzyjała intelektualnej bezkarności.

Wypływająca z niezupełnie chyba uświadomionych inklinacji dziennikarskich, niezmiernie charakterystyczna dla specyfiki tego rodzaju pracy umysłowej, pokusa taniej i powierzchownej wszechstronności, błędnie tłumaczona przez byłego debiutanta jako swoisty uniwersalizm zainteresowań twórczych, prowokowała nieustannie do niebezpiecznych eksperymentów. W specyficznej atmosferze napiętego, dopingującego wyczekiwania pojawiają się kolejno: rozprawka naukowa, zbiór wierszy, tomik opowiadań, tom szkiców krytycznych. Krzepnie wrodzone poczucie pewności siebie, rośnie agresywność, kiełkują „lichniakizmy". powstaje lichniakowski styl i lichniakowska maniera. Cudowne dziecko przeobraża się w niegrzecznego Dyzia.

Naturalną koleją rzeczy dyplomowany s a m o u k zaczyna inspirować swych młodszych, mniej odpornych kolegów. W kręgu tej inspiracji, która sąsiaduje o miedzę z urzeczeniem myślowym i terrorem wyobraźni, znaleźli się w pierwszej kolejności wszyscy niemal zamaskowani, potencjalni przeciwnicy oraz konkurenci Lichniaka. Ponieważ zawiódł rezonans talentu i inteligencji (Lichniak nie alche-

(Dokończenie na str. 4)

DM 191/07

KIERUNEK PRACY

ANDRZEJ MICEWSKI

DZIESIĘCIOLECIE ruchu społecznie postępowego zamknęło pewien etap naszej pracy. Masowe zjazdy duchowieństwa i świeckich zakończyły się dużym sukcesem politycznym, podsumowały nasz dziesięcioletni dorobek ideologiczny. Trzeba więc teraz wytyczyć główne kierunkowe pracy w bieżącym roku i na najbliższy okres, żeby nie zaprzepaścić kapitału społecznego, jaki potwierdziła masowość zjazdów dziesięciolecia.

Ruch społecznie postępowy działa w określonych warunkach społecznych, międzynarodowych i wewnętrzno-politycznych. Jest rzeczą jasną, że nasza zasadnicza kierunkowa działania musi być dostosowana do potrzeb wynikających z oceny sytuacji ogólnej. Jak wiemy, sytuację ogólną cechuje wielki dynamizm rozwojowy, polegający przede wszystkim na narastaniu dwóch zasadniczych procesów:

w polityce międzynarodowej procesu współistnienia różnych systemów, który niezależnie od wielu trudności jest trwałym i charakterystycznym znamieniem obecnego okresu;

w życiu wewnętrzno-politycznym naszego kraju procesu dalszej humanizacji, decentralizacji, kolegialności, a więc demokratyzacji dyskusji ideowej i kulturalnej, procesu, który rozpoczął się od trzeciego plenum K.C. Partii.

Oba wspomniane procesy ogólne stanowią szerokie tło ideowo-polityczne naszej pracy. Nie trzeba tutaj dowodzić, jak znamienne są one dla naszego kraju i całego naszego obozu. Humanistyczne procesy rozwojowe wewnątrz społeczeństw socjalistycznych wzbogacają życie społeczne, przydają naszemu obozowi atrakcyjności i znaczenia, wychodzą na przeciw złożonym potrzebom człowieka.

Rzecz jasna, w tych warunkach kierunkowe pracy ruchu społecznie postępowego muszą i będą harmonizować z procesami wielkiej problematyki ideowo-politycznej w świecie i w naszym kraju.

Zanim jednak zajmiemy się głównymi kierunkowymi naszej pracy i konkretnymi wskazaniami na najbliższy okres, wypada jeszcze w kilku słowach zastanowić się nad sytuacją ruchu. Jest to niezwykle ważne dla poczucia perspektywy, zasadniczego czynnika, który mobilizuje naszych działaczy do codziennej aktywności w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Ruch społecznie postępowy działa niewątpliwie w warunkach skomplikowanych. Z jednej strony jego przekonania społeczno-polityczne jeszcze przez długi czas będą stanowiły *novum* w świecie chrześcijańskim, stąd też wynika i będzie wynikało wiele nieporozumień i trudności czasem bolesnych i zasadniczych. Z drugiej strony ruch nasz działa w państwie dążącym do socjalizmu, kierowanym przez materialistów filozoficznych, gdzie ruch wysuwa pionierską tezę wieloświatopoglądowości budownictwa socjalistycznego. W tych konkretnych warunkach istnieje potrzeba uogólnienia pewnej zasadniczej podstawy naszego rozwoju. Taką zasadniczą podstawą ideową-polityczną istnienia i aktywności ruchu społecznie postępowego, podstawą formułowaną z pozycji nieantagonistycznych, jest przekonanie, że nasza aktywność, jej spożytkowanie społeczne jest obiektywnie uzasadnione i konieczne z punktu widzenia dobra tego budownictwa.

Trzeba sobie uświadomić, że nie jest prawdą, jakoby można było zneutralizować czy unieszkodliwić raz na zawsze postawę konserwatywną. Człowieka o takiej postawie nie wystarczy rozbroić politycznie, odebrać mu możność szkodzenia. Jeśli ograniczymy się do tego — postawa konserwatywna wcześniej czy później się odnowi i znajdzie sobie ujście. Dlatego należy nie tylko zneutralizować postawę konserwatywną społecznie, ale trzeba związać człowieka z budową naszego ustroju społeczno - gospodarczego, wzbudzić w nim poczucie sensu i entuzjazmu życia i pracy, wpoić w niego nowe, postępowe społeczne przekonania. W przeciwnym wypadku — człowiek taki będzie stracony dla nowego społeczeństwa, nawet zneutralizowany politycznie, będzie obciążał pasywa w rachunku sił. Większa ilość takich ludzi, którzy nawet otwarcie politycznie nie szkodzą, praktycznie będzie stanowiła o marnotrawieniu sił społecznych, potrzebnych do budowy nowego ustroju, będzie świadczyła o niewyzyskaniu rezerw społecznych tak koniecznych dla naszej gospodarki, rywalizującej coraz skuteczniej z gospodarką kapitalistyczną, która nagromadziła w głównych krajach kapitalistycznych olbrzymie zasoby materialne, ludzkie i techniczne. Obóz nasz musi wygrać rywalizację gospodarczą, gdyż ma po temu wszelkie dane wynikające z uspołecznienia własności, planowości, prymatu industrializacji, struktury społecznej. Ważnym jednak elementem, z całą pewnością najważniejszym jest czynnik pracy, sprawa człowieka. Nie wolno pominąć tu żadnych rezerw społecznych, trzeba wykorzystać wszystkie siły, upowszechnić i spożytkować zrozumienie i entuzjazm dla przebudowy społeczno-gospodarczej kraju.

Dla szerokich rzesz katolickich w w Polsce obudzenie tego entuzjazmu jest możliwe, jeśli inspirację ideową będą one czerpać ze światopoglądu religijnego. Nie jest to jakimś wymysłem oderwanym od faktów społecznych. Po prostu ludzie wierzący poważnie traktują swój stosunek do religii i wiążą go nie tylko z problematyką życia osobistego, ale odnoszą go także do ogólnego stosunku do świata i zjawisk społecznych. Światopogląd religijny może stać się źródłem inspiracji ideowo-moralnej do przebudowy społeczno-gospodarczej kraju, jeśli wyznawcy tego światopoglądu staną wobec odziaływania ruchu społecznie postępowego oraz będą mieli poczucie perspektywy w nowym ustroju społecznym. Najogólniej więc ujmując sprawę, działalność ruchu społecznie postępowego, która zawiera realizowanie własnych postulatów światopoglądowych, jest w bilansie narodowym korzystna i niezbędna.

Teza powyższa ma dla naszej pracy podstawowe zupełnie znaczenie, ponieważ wynika z niej perspektywa ideowo-polityczna dla ruchu, nasze własne poczucie użyteczności społecznej. Teza ta — rzecz prosta — wymaga jeszcze dyskusji i upowszechnienia, nie jesteśmy bowiem w momencie, kiedy jej słuszność byłaby w Polsce Ludowej całkowicie i powszechnie oczywista. Musimy o słuszności tej tezy przekonywać. Musimy ją także i przede wszystkim uzasadniać praktycznie, w dostępnym nam zakresie, przez przykładowe ukazywanie aktywności społecznej i gospodarczej w naszym ustroju, której inspiracja zawiera się w światopoglądzie chrześcijańskim. Niewątpliwie przykładowymi naszymi osiągnięciami na tym odcinku była praca i zdobycze ruchu społecznie postępowego na terenie powiatów wiejskich w Wołowie i Olkuszu, a ostatnio w Wieluniu w woj. łódzkim.

Zgodnie z tym, co powiedzieliśmy na wstępie, kierunkowe naszej pracy, platforma ideowo-polityczna najbliższego okresu naszej aktywności będzie zgodna z tymi procesami międzynarodowymi i wewnętrznymi, które określiliśmy jako znamienne dla tego okresu i niezwykle korzystne dla naszego narodu, jak i dla sprawy pokoju i postępu w świecie.

Pracę naszą w nadchodzącym okresie musi więc cechować szerokie oddziaływanie ideowo-polityczne. Musimy wydobywać wszystko to, co jest — dzięki naszej ideologii — wzbogaceniem życia społecznego kraju oraz te elementy, które są bezsporne dla wszystkich Polaków w ramach Frontu Narodowego. Elementów takich znajdziemy wiele zarówno z punktu widzenia sytuacji międzynarodowej, jak i z punktu widzenia problematyki wewnętrznej. Taka platforma ideowo-polityczna stworzy ruchowi społecznie postępowemu szeroką płaszczyznę oddziaływania, odpowiadającą tendencjom obecnego okresu. W ten sposób będziemy mogli wreszcie zrobić dalszy krok w kierunku poszerzenia aktywu naszego ruchu. Aktyw duchowny i świecki ruchu społecznie postępowego zbyt się bowiem zasklepił we własnym kręgu, trzeba mu nowych ludzi, którzy dotąd nie brali bezpośredniego udziału w naszych pracach. Aktywowi naszemu w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego potrzebna jest także — i to w wielkim stopniu — dyskusja ideologiczna. Aby jednak poszerzyć nasz ruch o ludzi, którzy będą stanowili w nim czynnik twórczy i dynamiczny, musimy wyjść naprzeciw tym ludziom. Wielka ogólnonarodowa problematyka zagraniczna i wewnętrzna Frontu Narodowego musi w nadchodzącym roku naszej pracy znaleźć dobitny i szeroki wyraz. Musimy odnowić i wzbogacić argumentację tych wytycznych bezspornych, które określaliśmy jako polską współczesną rację stanu. Ta problematyka winna skupić w naszej Komisji wiele sił społecznych, sił wartościowych w polskim duchowieństwie i wśród katolików świeckich, z którymi dyskusja ideologiczna przeprowadzona obecnie po wielu przemianach i długim okresie rozwojowym może być ciekawa i pożyteczna.

Drugim ważnym zagadnieniem, jeśli idzie o kierunkowe naszej pracy, jest problematyka wyznaniowa, z którą w nadchodzącym okresie Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego powinna jeszcze bardziej niż dotychczas się związać. Co należy przez to rozumieć? Chodzi o to, że stale tkwimy w fazie pewnej bierności na odcinku polityki wyznaniowej, na odcinku czynnego umacniania linii dwustronnego porozumienia między Kościołem a Państwem. Linia porozumienia zasadniczo obowiązuje, ale przez brak aktywności na tym odcinku realizacja jej nie przynosi tych wartości, jakie można by wydobyć dla Kościoła i dla Państwa z aktywnego dwustronnego współdziałania. Komisja nasza musi w zakresie o wiele poważniejszym niż dotychczas stać się bazą społeczną współdziałania Kościoła i Państwa. Poszerzenie zakresu naszego oddziaływania w tej sprawie musi się odbyć przede wszystkim przez zejście w dół, przez wpływ na kształtowanie się dobrych stosunków między Kościołem a Państwem na szczeblu terenowym, konkretnie w powiecie.

Nasz udział w tej problematyce polega przede wszystkim na tym, że w wielu sprawach możemy być czynnikiem doradczym, pośredniczącym. Komisja nasza może z pozycji społecznie postępowych reprezentować istotne katolickie postulaty światopoglądowe. Komisja nasza może reprezentować także postulaty społecznie postępowe wobec instytucji katolickich, z tym, że nasze ujęcie tych postulatów będzie odznaczało się ortodoksyjną katolicką postawą doktrynalną i jurysdykcyjną. Na tych dwóch elementach może konkretnie polegać nasza aktywność na odcinku polityki wyznaniowej przy oczywistym zrozumieniu faktu, że kompetentnymi stronami w tej dziedzinie są władze kościelne i władze państwowe. Nasza rola, rola bazy społecznej Porozumienia, wynika z przesłanek ideologicznych i streszcza się do wyrażania głosu szerokiej, zaangażowanej ideowo opinii społecznej. Oczywiście przełożenie tego wszystkiego na język konkretu, na potrzeby terenu i naszą rolę w ich zaspokojeniu jest rzeczą często skomplikowaną. Kadry terenowych duchownych i świeckich działaczy Komisji muszą stale rosnąć i sposobić się do realizacji tych zadań. Potrzebne im będzie duże doświadczenie społeczne i wyrobienie ideowe. Dlatego jest rzeczą ważną, aby atmosfera naszej pracy ideowo-politycznej była przesycona rozumieniem doniosłości sprawy współdziałania wierzących i niewierzących, sprawy współżycia i współdziałania Kościoła i państwa socjalistycznego. Problematyka ta w poprzednich okresach była u nas szeroko rozwijana i obecny okres przynosi konieczność pogłębienia i wzbogacenia jej o potrzeby naszego okresu.

Uwzględniając wymienione przesłanki ideowo - polityczne naszej działalności trzeba nakreślić jej ramy organizacyjne. Już na pierwszy rzut oka jest zrozumiałe, że stawianym przez nas zadaniom ideowo-politycznym musi odpowiadać kadrowy charakter pracy Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Chcąc poszerzyć zakres oddziaływania społecznego musimy przede wszystkim pracować nad własnymi szeregami, uporządkować sprawy kadrowe, poszerzyć społeczny zasięg aktywu duchownych i świeckich. Chcąc oddziaływać na linię dwustronnego Porozumienia w duchu jej czynnej realizacji, trzeba mieć aktyw terenowy o dużym autorytecie społecznym. Wreszcie ostatni okres naszego rozwoju organizacyjnego, w którym realizowaliśmy hasło dotarcia do każdej parafii w Polsce, nasuwa obecnie logiczną organizacyjnie linię, aby po akcjach masowych zatrzymać się nad pracą z własnym aktywem, nad jego uporządkowaniem, uzupełnieniem i poszerzeniem, by potem podjąć nową, szerszą ale i głębszą ofensywę oddziaływania ideowego. Dlatego zeszłoroczne hasło dotarcia do każdej parafii musimy obecnie zastąpić nowym, mówiącym o bardziej kadrowym charakterze naszej pracy. W nadchodzącym okresie hasłem naszej pracy powinno być utworzenie silnego kilkuosobowego aktywu w każdym powiecie. Zadanie to musi być realizowane przez systematyczną pracę ideowo - polityczną, drogą organizowania spotkań powiatowych i międzydekanalnych. Oczywiście na zadanie to należy patrzeć realistycznie. Jest rzeczą jasną, że nie od razu i nie w każdym powiecie zorganizujemy silny kilkuosobowy aktyw Komisji. Jest to kwestia długofalowej, wielomiesięcznej pracy politycznej. Aktywy powiatowe będą powstawały wolno i dojrzale. Powoli będą kształtowały się ich zadania i metody pracy, związane z terenową powiatową problematyką Frontu Narodowego oraz z terenowymi sprawami stosunków między Kościołem a Państwem.

Zasadnicza więc praca organizacyjno-polityczna Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego będzie odbywała się w nadchodzącym roku w powiecie. To poszerzy naszą skalę widzenia potrzeb społecznych, spraw terenu, wzmocni związek z rzeczywistością i pozwoli dopracować się szerokiej kadry działaczy.

W tym czasie będziemy mieli oczywiście określone i ważne zadania na szczeblu Komisji wojewódzkiej. Jeśli mamy iść konsekwentnie drogą budowania własnego silnego aktywu, to w województwie musi wyrażać się to maksymalnym uaktywnieniem sekcji kulturalnych, będących najdogodniejszym terenem poszerzania naszego ruchu, oraz ostatecznym ukształtowaniem się prezydiów wojewódzkich Komisji, co powinno być związane z konkretną pracą polityczną, z dyskusją aktywu wojewódzkiego z przedstawicielami Komisji Krajowej nad najżywotniejszymi problemami i potrzebami terenu.

Na szczeblu centralnym powinniśmy w najbliższym czasie uporządkować sprawy Komisji Krajowej, zwołać jej plenarne zebranie celem przedyskutowania planu pracy terenowej i jego wytycznych ideowo - politycznych, a następnie powinniśmy uzupełnić skład Komisji Krajowej przez tych działaczy terenowych, którzy wyrośli w ciągu ostatnich dwóch lat, tak aby Komisja Krajowa była dostatecznie szeroka i reprezentatywna.

W pracach Prezydium Komisji Krajowej najważniejszą rzeczą jest oczywiście kierunek nastawienia ideowo-politycznego. Ważne jest tu nastawienie dla sekcji kulturalnych, które powinny się rozwijać tkwiąc w nurcie problematyki światopoglądowej, Frontu Narodowego i dwustronnego Porozumienia. Ważne jest także nastawienie i kierunek zadań wojewódzkich sekcji gospodarczych, których praca w najbliższym okresie będzie związana z przeanalizowaniem ankiety rolniczej, rozpisanej przez naszą Komisję. W ankiecie tej wzięło udział ponad trzystu proboszczów wiejskich, co stanowi około 10% ogółu parafii wiejskich, a więc procent znaczny i reprezentatywny przy równomiernym rozmieszczeniu odpowiedzi, które nadeszły z terenu całego kraju. Poza tym sekcje gospodarcze będą zajmowały się zagadnieniami gospodarczymi swojego okręgu pod kątem pomocy inspiracji duszpasterskiej. Praca tych sekcji ma niewątpliwie charakter zasadniczy dla profilu naszego ruchu. Praca zaś sekcji kulturalnych będzie stanowiła oś naszej aktywności w terenie, ponieważ wynika to z zamiaru stałego poszerzania ruchu, a obecnie poszerzania jego aktywu. Centralne i terenowe Katolickie Dni Społeczne, systematycznie organizowane przez naszą Komisję, dopełnią nasze wysiłki w budowie odpowiedzialnego ideowo i politycznie aktywu.

Szerokiej wewnętrznej problematyce naszego ruchu służą działające przy Prezydium Komisji Krajowej sekcje koncepcyjne. Jedna z tych sekcji zajmuje się opracowaniem i dyskusją nad nowym projektem katechizmu, inne sekcje opracowują szereg specjalnych ważnych problemów wewnętrzno - katolickich. Wszystkie sekcje koncepcyjne, niezależnie od ich teoretycznego charakteru pracy, od intelektualnej dyskusji, która powinna być metodą ich pracy, służą ideologii ruchu społecznie postępowego, służą postępowej przemianie świadomości ideowo-politycznej, dalszemu przekształceniu postawy kół katolickich w duchu społecznie postępowym dla dobra perspektywy Kościoła w naszym ustroju.

Ruch społecznie postępowy wchodzi w nowy okres swojej pracy. Dwie rzeczy należy jeszcze specjalnie podkreślić w tym momencie. Pierwszą jest integralny związek naszego ruchu z ogólnopolskim Frontem Narodowym, związek naszych Komisji wojewódzkich z Wojewódzkimi Komitetami Frontu Narodowego. Harmonijny rozwój naszej pracy w okresie procesów decentralizacji i kolegialności wymaga najściślejszego związku Komisji wojewódzkiej z woj. Frontem Narodowym i kontaktu z Wojewodzkimi i Powiatowymi Radami Narodowymi.

Drugą rzeczą godną zasadniczego podkreślenia jest w nowym okresie pracy naszego ruchu sprawa głębokiego podejścia naszych aktywów terenowych do centralnej ideologicznej problematyki katolików społecznie postępowych, do postulatu wieloświatopoglądowości naszego obozu. Celu tego nigdy nie można tracić z oczu, ponieważ stanowi on ostateczną rację bytu ruchu społecznie postępowego. Aby możliwie najlepiej służyć temu celowi — aktywy terenowe powinny dbać o najlepszą współpracę z Komisją Krajową i jej Prezydium, które wytyczy ideowo-polityczne kierunkowe naszej pracy.

Mając zawsze te dwa względy na uwadze powinniśmy pracę naszą rozwijać w sposób znamionujący szerokość spojrzenia ideowo-politycznego, poczucie nie tylko doraźnego celu, ale także wielkiej perspektywy ideologicznej, przy ciągłym związku z konkretem, z potrzebami naszego narodu, budującego ustrój sprawiedliwości społecznej i potrzebami Kościoła akomodującego się do nowej społecznej epoki.

Afryka czarna

TO był bardzo ładny schemat: a) represje w Kenii, b) dyskryminacja rasowa w Afryce Południowej, c) — już nie zawsze — bazy amerykańskie. Dziennikarze (nie wyłączając niżej podpisanego), uroczeni jego prostotą zapominali jednak, że mieszkańcy Czarnego Lądu — poza tym, że są przedmiotem terroru, segregacji i ucisku — mają jedną ciekawą właściwość: żyją. I może byłoby słusznie spojrzeć na nich od tej strony: dlaczego i w jaki sposób żyją dziś pod panowaniem kolonialnym, jakie stoją przed nimi problemy i perspektywy. Oczywiście nie zrobimy tego w komentarzu na 300 wierszy. To po prostu sygnał, że tematem warto się zająć.

Kiedy weźmiemy mapę polityczną Afryki Czarnej — ogromnego obszaru rozciągającego się od Sahary do Przylądka Dobrej Nadziei — zobaczymy jeden tylko samoistny kraj murzyński: malutką Liberię; trudno bowiem brać pod uwagę rządzoną przez białych Unię, albo Abisynię i Sudan o mieszanej ludności. Na liście uczestników konferencji w Bandungu znajdują się tylko Liberia i Złote Wybrzeże. A z poważnych ruchów wyzwoleńczych wyliczyć można jedynie Kenię. Czemu przypisać ten rażący kontrast z innymi obszarami zacofanymi — Azją, Bliskim Wschodem czy Afryką Północną?

Odpowiedzieć można, że bogactwa naturalne Afryki każą mocarstwom kolonialnym utrzymać swe władztwo szczególnie mocno. Oczywiście, ale przecież wiele krajów azjatyckich, dzisiaj wolnych lub o wolność walczących, stanowiło niemniej cenne perły w imperialnych koronach, a mimo to musiano je porzucić. Wydaje się więc, że inne czynniki grają tu rolę.

W Afryce uderza większy niż na innych kontynentach brak spójności. W przeszłości ludy afrykańskie były puszczami i pustyniami, rozbite na niewielkie i wrogie sobie szczepy. Były też zupełnie bezbronne wobec przybyszów z wybrzeża. Potem władze kolonialne świadomie przeszkadzały integracji, wygrywając osobiste ambicje plemiennych przywódców. Rozbicie potęgował jeszcze podział kolonii między poszczególne mocarstwa, często tak sztuczny jak w Kamerunie i Togo.

To jedno. Dalej, kompletny brak wpływów przeciwnych europejskim. Z Europy, z metropolii, szły perkale i strzelby; szły formy polityczne i struktura gospodarcza. Z Europy wreszcie wracali ci, których wybrali sobie biali władcy: cieniutka warstwa tubylczej inteligencji, kształcona na angielskich czy francuskich uniwersytetach, której wmówiono, że ideałem politycznym Afryki jest władztwo białych, co najwyżej z jakąś iluzoryczną autonomią. Argumentowano zresztą nie tylko wykładami, w sukurs poszły europejskie garnitury i honorowe urzędy doradców gubernatora czy członków organu konsultatywnego. W ten sposób Anglia — bo ona szczególnie przyjęła tę metodę — zbudowała nad koloniami fasadę „współpracy"; kilkanaście dni temu królową Elżbietę witał przecież w Nigerii murzyński premier, defilowały murzyńskie pułki, mowy tronowej wysłuchiwał murzyński parlament.

Trzecie wreszcie, to struktura społeczna — mały procent proletariatu miejskiego i przez to brak uświadomionych politycznie sił: przepaść między zeuropeizowaną inteligencją a szczepami winejskimi jest bardzo nikle wypełniona.

A może — spyta podejrzliwy czytelnik — nie walczą po prostu dlatego, że im jest dobrze?

Niesposób jest dokonać w dwóch słowach analizy gospodarczej całego obszaru. Weźmy jednak dla przykładu sytuację w południowych koloniach brytyjskich — obie Rodezje, Kenia, Uganda, Tanganika. Na obszarze tym żyje 37 milionów mieszkańców, w tym 33 czarnych. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę niesłychany przyrost ludności tubylczej: w ciągu 40 lat narosła ona niemal podwójnie.

Mamy więc do czynienia z faktem, który gwałtownie pogarsza sytuację ekonomiczną ludności, żyjącej głównie z rolnictwa. Ziemia, która niegdyś wystarczała na zaspokojenie prymitywnych potrzeb, dzisiaj nie może dać utrzymania. Bezwzględne wykorzystanie pastwisk doprowadziło do tego, że rokrocznie setki tysięcy bydła ginęły śmiercią głodową. Dalsze sztuki trzebi zimno i deszcz, gdyż bydło nie ma pomieszczeń. To, co pozostaje przy życiu, jest zbyt słabe, aby uciągnąć pług. Tubylcy przenoszą się więc do miast i szukają zatrudnienia w górnictwie, przemyśle, handlu lub gospodarstwach domowych. Uciekając, sprzedają ziemię; na to jednak, aby ją sprzedać, trzeba wydzielić swą własność z puli szczepowej. I tak ubocznym produktem kryzysu rolnego jest kryzys podstawowy społecznej i kulturowej Afryki Czarnej — szczepu.

Odchodzą do miast. Czy na lepsze życie? Analiza zarobków gotówkowych ludności czarnej jest wprost zastraszająca — zależnie od terminu waha się od 10 do 18 funtów rocznie. Gotówkowe dochody pracowników najemnych w rolnictwie — a więc na fermach białych osadników — są jeszcze niższe: w Kenii 5 funtów, w Tanganice 3,3, w Ugandzie 2,7.

Rzecz prosta, że dochody te określają nikłą siłę kupna. Ciekawe jednak, jak bardzo — w granicach możliwości nabywczych — zmienił się rodzaj poszukiwanych towarów. Murzyn nie zadowala się już kupnem opaski na biodra i kilku szklanych paciorków. Nabywa drelichy, koszule i koce, a przede wszystkim narzędzia pracy na roli — pługi, siekiery i noże, sierpy, młotki, gwoździe. Ma przy tym zaskakujące wyczucie jakości towaru. W pewnym piśmie niemieckim czytałem następującą historię. W sklepach tubylców sprzedawano w dużych ilościach szwedzkie siekiery. Inny europejski wytwórca wykorzystał popyt i skopiował model, upodobniając nawet markę fabryczną tak dalece, iż firma szwedzka wytoczyła mu proces. Murzyni przychodzili do sklepu, brali jedną siekierę do lewej, drugą do prawej ręki i chociaż nie potrafili czytać, wybierali wyłącznie wyrób szwedzki.

Modelowanie struktury gospodarczej według wzorów kapitalizmu, a więc przechodzenie części ludności do miast, praca najemna płatna gotówka, obrót ziemią jako własnością indywidualną — wszystko to musi wywierać swój wpływ na procesy kulturalne Czarnego Lądu. I tu podstawowym problemem jest sprzeczność, której państwa kolonialne nie starają się rozwiązać: sprzeczność między nową cywilizacją, narzucającą się od zewnątrz, ale nie przystosowaną do miejscowych warunków, a starą kulturą szczepową, opartą o tradycje chłopskie i kolektywne. Europejskie konwencje są natomiast bezwartościowe, jeśli nie dokona się ich transformacji na grunt afrykański.

Tej transformacji nie dokonano po części świadomie, pragnąc — jak już wspomnieliśmy — wyobcować elitę intelektualną z jej rodzimego środowiska kulturalnego i społecznego: świadectwa szkolne i urzędy grały tu rolę nie gorszą niż strzelby w czasach Livingstone'a i Cecil Rhodesa. Nawet jednak ci Europejczycy — myślę tu szczególnie o Francuzach — którzy pragnęli szczerze ucywilizowania Afryki, ci pełni poświęcenia misjonarze i nauczyciele, popełnili podstawowy błąd. Sądzili oni, że do ludów zacofanych stosować należy te same metody nauczania, co w metropoliach. Uważali, że aby „ucywilizować" wystarczy otwierać szkoły z europejskim programem. Pominięcie tradycji afrykańskiej nie tylko zatrzymało całkowicie rozwój rodzimej kultury, ale stworzyło szereg jednostek wykolejonych, mniej lub bardziej rozgarniętych boyów białego pana, marzących o dwurzędówce, krawacie i stanowisku telegrafisty w zapadłej agencji w dżungli. Przed Czarnym Lądem stoi więc problem wielkiej wagi: wytworzenia nowej, prawdziwie afrykańskiej w swych źródłach kultury, przystosowanej jednak do współczesnego życia.

Jakie perspektywy wyzwolenia stoją przed obszarami, pogrążonymi jeszcze dzisiaj w mroku?

Przede wszystkim nonsensem są twierdzenia o braku podstaw ekonomicznych do samodzielnego bytu. Odpowiedzią jest ogromne zainteresowanie mocarstw kolonialnych. Odpowiedzią są liczby udziału Afryki czarnej w produkcji światowej pewnych surowców: diamenty 88%, kobalt 80%, złoto 59%, rudy fosfatowe 36%, chrom 31%, mangan 30%, cyna 15% itd. Odpowiedzią są wreszcie niewyzyskane jeszcze i nawet nieobliczone zasoby węgla i drzewa, uranu, miedzi i rudy żelaznej. Niemal zupełnie niewyzyskana jest energia wodna, której olbrzymie zasoby objawiają się w wodospadach: sama rzeka Kongo mogłaby dostarczyć rocznie 99 milionów kilowatów; rozbudowa ujścia tej rzeki dałaby energię 1 miliarda ton węgla, czyli więcej, niż wynosiła produkcja światowa w roku 1950.

A perspektywy polityczne? Przyznać trzeba, że władztwo kolonialne jest tu ugruntowane mocniej niż gdzie indziej. Dwa jednak czynniki rokują duże nadzieje. Pierwszy, to wzrost świadomości, zarówno narodowej — jak widzimy w Kenii, jak i społecznej — strajki w Afryce Południowej, Rodezji czy Nyassie. Drugi, to wpływ rozwiniętych politycznie krajów bloku afro-azjatyckiego, zwłaszcza Egiptu. Od momentu rywalizacji Egipt prowadzi za pośrednictwem radia i prasy kampanii uświadamiającą narody czarnej Afryki. Działalność ta ułatwiona jest przez fakt, iż duża część ludności murzyńskiej w Afryce wyznaje Islam (Nigeria). Przez apel do wspólnej religii silniejszy oddźwięk znajduje wezwanie do jedności działania przeciw kolonializmowi. Niewątpliwie w obecnym układzie politycznym Egipt może odegrać poważną rolę w budzeniu Czarnego Lądu do niepodległości. Jesteśmy pewni, że rację miało radio Kair, gdy z okazji ogłoszenia suwerenności Sudanu stwierdziło. Wierzymy, iż w jedności narodów Doliny Nilu znajdziemy rzeczywistą siłę nie tylko, by bronić naszej wolności, ale również, by nieść jej płomień na cały kontynent afrykański".

Janusz Stefanowicz

OBYCZAJOWOŚĆ SEKSUALNA

NAJPOWAŻNIEJSZY niepokój wzbudziły opublikowane w prasie cyfry: w Polsce dokonywuje się rokrocznie 600.000 nielegalnych poronień, przeważnie w warunkach zagrażających zdrowiu i życiu matki. Dziewczęta i kobiety poddające się tym nielegalnym zabiegom pochodzą ze wszystkich warstw społecznych. Zamieszczone w prasie codziennej i periodycznej liczne opisy i reportaże wyjaśniają bezpośrednią przyczynę tego zjawiska: narastanie bezładu płciowego, kryzys instytucji małżeństwa, rozkład rodziny.

Podejmując tę arcytrudną problematykę publicystyka dała się ponieść i zwieść żywiołowej prawidłowości narastającego zjawiska. Tok rozumowania większości był w najogólniejszych zarysach następujący: skoro w socjalistycznych warunkach społecznych wykształca się pewien typ obyczajowości seksualnej, wyzwolonej z tradycyjnych ram obyczajowych, trzeba na gwałt zrewidować poglądy, zaczerpnięte z dorobku kulturalnego przeszłości, przewartościować je i stworzyć nowy stereotyp obyczajowy uwzględniający nową rzeczywistość. Ze względu na ujawniony stan faktyczny trzeba działać doraźnie i szybko celem zlikwidowania szkodliwych i niebezpiecznych społecznie następstw sprzeczności zachodzącej pomiędzy rozwojem nowej obyczajowości a pozostałymi z przeszłości, anachronicznymi w świetle stanu faktycznego, normami obyczajowymi i prawnymi. Trzeba, w myśl troski o człowieka, dopomóc ludziom szarpiącym się w potrzasku nieubłaganych praw natury, dostarczając im środków antykoncepcyjnych i ustawę legalizującą przerywanie ciąży. Trzeba, jednym słowem, zburzyć funkcjonujący jeszcze, niezgodny z ujawnionymi potrzebami ludzi, anachroniczny schemat obyczajowo-prawny. Ten tok rozumowania jest, wyłączając prasę katolicką — przynajmniej w poszczególnych zakresach — w zasadzie wspólny prawie wszystkim uczestnikom dyskusji (Lovell, Maciąg, Parzyńska, Chylińska, Bocheński, Krzywicka), choć różnią się oni w szczegółach swych poglądów. Szkoda tylko, że w trosce o pełniejsze wyzwolenie człowieka zapomnieli o obowiązującej nas zasadzie: konieczności dokonywania oceny wszystkich przejawów działalności człowieka na możliwie szerokim i perspektywicznie ujętym tle rozwoju społeczeństwa i kultury. Przyznanie szczególnej autonomii dziedzinie obyczajowości płciowej musiałoby zostać jakoś uzasadnione na tle całokształtu naszej kultury; takiej próby jednak dotychczas nikt nie podjął.

Spróbuję więc zrobić coś odwrotnego: uzasadnić integralny związek obyczajowości płciowej z kulturą i życiem społecznym, przy uwzględnieniu całej specyfiki tego zagadnienia.

Przyczyny erotyzmu nie leżą bynajmniej w naturze człowieka, która — o czym już pisałem w poprzednich artykułach — kryje w sobie zarówno instynkty, jak i mechanizm ich kontroli i celowego kierowania nimi. Jeśli więc spotykamy się z masowym zjawiskiem kultywowania erotyzmu, to mamy do czynienia nie z jakąś przemożną siłą natury ludzkiej, a tylko ze specyficzną formą aktywności kulturalnej. Że tak jest, łatwo przekonać się choćby z artykułu Ireny Krzywickiej „Współczesna miłość" („Nowa Kultura" nr 6(306) z 5 lutego 1956 roku), który stanowi najbardziej wymowny przykład dla tej tezy. Przez kultywowanie erotyzmu rozumiem stałe, świadome dążenie do kontaktów płciowych dla satysfakcji płynącej z nich samych, jako pewnego autonomicznego celu. Sam popęd płciowy nie determinuje wcale jednoznacznie takiej postawy. Dla wytworzenia się specyficznej postawy stałego dążenia do zaspokojenia płciowego konieczny jest również i drugi czynnik: świadomej afirmacji takiego dążenia jako pewnego celu życiowego, jako pewnej wartości.

Przyjęcie postawy afirmacji jakiejkolwiek wartości dokonywane jest w drodze uwarunkowanego społecznie i indywidualnie wyboru. Wartość ta musi być jednak przede wszystkim znana i dostępna. Rozpowszechnianie się w społeczeństwie wartości składających się na treść kultury, zależy w poważnym stopniu od struktury społeczno-gospodarczej, w stosunku do której odgrywać one mogą rolę służebną. Wartości kulturalne mogą jednak tracić swoje funkcje społeczne; mogą być przyjmowane niezależnie od nich przez różne warstwy i klasy ze względu na inne wartości; mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenie z utratą funkcji społecznej lub jej całkowitą zmianą. Przysługuje im, jednym słowem, swoista autonomia w stosunku np. do przeobrażeń społecznych. Do wartości, wchodzących w skład każdej kultury i określających między innymi jej treść, należą również idee wyznaczające zakres i sposób wykorzystania przyrodniczej natury człowieka, jego naturalnego, „organicznego" wyposażenia. Sposób, w jaki dajemy upust instynktowi płciowemu, warunki, w jakich pozwalamy mu się przejawiać, zależą zatem wyłącznie od treści ideowych systemów wartości, przyjętych przez nas w toku wychowania i życia w społeczeństwie.

HISTORIA wskazuje na bardzo różne role społeczne i systemy wartości przypisywane w różnych kulturach instynktowi płciowemu i życiu seksualnemu. W kulturach ludów prymitywnych np. cześć i szacunek oraz poważna funkcja społeczna przyznawana życiu płciowemu łączyły się, jak można przypuszczać, z ogromnym znaczeniem płodności dla skutecznej walki z siłami przyrody. Podobną funkcję zachował, w przeżytkowej już raczej formie, kult erotyzmu wśród starożytnych. Wraz z rozwojem cywilizacji i kultury następowało stałe podporządkowanie roli instynktu płciowego i obyczajowości seksualnej pewnym wyższym celom społecznym, do jakich należała przede wszystkim rodzina — podstawowa komórka życia społecznego i reprodukcji stosunków społeczno-gospodarczych oraz środowisko wychowawcze. Z tym, nowymi treściami kultury, określającymi rolę życia seksualnego i instynktu płciowego w interesie postępu społecznego, treściami oznaczającymi przejście od prymitywnego bezładu do względnego uporządkowania, funkcjonowały równocześnie — jako autonomiczny składnik kultury, który utracił swą pierwotną funkcję — wartości afirmujące satysfakcję zmysłowego wyżycia. Ten uboczny nurt afirmacji „erosa dla erosa" pełnił rolę destrukcyjną, stanowił dysfunkcję rozwoju społecznego i kultury. Nasilał się zazwyczaj w chwilach rozkładu starego porządku społecznego i powstawania nowego jako przejaw kulturalnego wstecznictwa i bankructwa klas społecznych ustępujących z areny historii, kierujących swe zainteresowania ku prymitywnym, hedonistycznym wartościom.

Odstraszający przykład rozkładu społecznego w dziedzinie kultury stanowi „naukowy", zoologiczny seksualizm współczesnej burżuazji. Uzasadniony przez Freuda, opracowany we wszystkich szczegółach, wyciskający swoiste piętno na całej kulturze i wykorzystujący wszystkie najnowocześniejsze środki techniki — ogłupiający i zwyrodniający, ma określoną funkcję społeczną: uleczyć sprzeczności i konflikty współczesnego społeczeństwa burżuazyjnego przez wskazanie recepty na szczęście w zmysłowym wyżyciu. Eros stał się hegemonem współczesnej masowej kultury burżuazyjnej. Współczesny badacz burżuazyjnej obyczajowości seksualnej prof. Kinsey, który zresztą ujawnił całkowity jej rozkład (patrz — mój artykuł w poprzednim numerze „Dziś i Jutro") przyjął nawet na siebie misję ogłoszenia światu manifestu nieludzkiego indywidualizmu biologicznego, opartego na naukowych zasadach i uzasadnionego statystycznie. Seksualizm we współczesnej kulturze burżuazyjnej wyparł i zniszczył całe bogactwo emocjonalnych treści uczucia miłości wchodząc jako namiastka na jego miejsce i „odzierając je ze złudzeń". Jest to zresztą jedna z głównych przyczyn kryzysu instytucji małżeństwa. Partnerzy zawierający związek małżeński wyłącznie dla zaspokojenia zmysłów i seksualnego wyżycia, z góry skazują go na szybszy lub wolniejszy rozpad, nieuchronny z pozycji „wyzwolonego seksualizmu", wolnej gry skłonności. Z przyjmowanych pozycji seksualnego wyzwolenia, biologicznego indywidualizmu, z pozycji: każdy mężczyzna potencjalnym partnerem każdej kobiety — bezład i anarchizm płciowy zyskują zupełnie nowe, nieznane w czasach dzikości perspektywy: nowoczesne środki lokomocji, gigantyczne skupiska miejskie, ogromny wzrost gęstości zaludnienia i całą cywilizacyjną podbudowę dla miłosnej gry. Symbioza atawizmu i techniki dla uciechy zmysłów! Oto ostatnie słowa burżuazyjnej kultury.

Nie zdziwiłby się też zapewne wcale prof. Kinsey, gdyby zapoznał się z „pewnikami", jakimi posługują się niektórzy nasi publicyści, że — mianowicie — przedmałżeńska wstrzemięźliwość młodzieży jest niemożliwa, a monogamia i wierność małżeńska są w obecnych warunkach nierealnym, anachronicznym i niepotrzebnym nikomu absurdem, utrzymywanym jako postulat tylko przez wstecznych, „klerykalnych obskurantów". Nie dziwiłby się wcale postawie niektórych naszych publicystów, którzy wykluczają możliwość oparcia się pokusie „okazji", nadarzającej się przecież i u nas, w Polsce, na każdym kroku. — Czyż nie po to natura uczyniła mężczyznę mężczyzną, a kobietę kobietą, by pamiętać zawsze, co mogą zrobić razem? — Tym bardziej, że wyzwolenie z „przesądów", swoboda obyczajów, weszły jako istotny czynnik w skład stereotypowego wzoru nowoczesności. Prof. Kinsey stwierdził m. in., że w Stanach Zjednoczonych A. P. 15 proc. chłopców w wieku 12 lat ma już za sobą pełny akt seksualny. Mają więc zapewne rację Kamila Chylińska i Irena Krzywicka. Już dwunastoletni chłopcy nie mogą wytrzymać, a co tu dopiero mówić o monogamii.

Każda pozycja w obronie monogamii i wyłączności małżeństwa skazana jest w tej sytuacji z góry na pejoratywną ocenę jako „obskurantyzm, śmieszne zacofanie, anachroniczny, religijny przesąd". Seksualizm jako wyzwolona ze społecznego kontekstu, zobiektywizowana wartość kulturalna zdobywa coraz nowe pozycje. Zwycięsko wdarł się również jako „neutralna" treść kultury, nie dotycząca bezpośrednio wielkich batalii klasowo-politycznych i ideowych, do budującej socjalizm Polski: Wdarł się „cichcem", korzystając ze sprzyjających warunków okresu przejściowego (o których pisałem już w poprzednich artykułach). Jego stosunku do socjalizmu nikt nie próbował dotychczas weryfikować. Funkcjonując w społeczeństwie socjalistycznym nie może być przecież klasowo obcą treścią kultury, tak jak np.... ideowo obce mogą być niektóre kierunki w malarstwie... Rozpowszechnił się szybko jako wartość „łatwa", zyskująca popularność wśród mas i zaspokajająca ich potrzebę rozrywki, jako namiastka wielkiego, powszechnego i natychmiastowego awansu kulturalnego. Magiczne właściwości erotyzmu — jako zobiektywizowanej wartości kulturalnej — w działaniu na ludzi uwielokrotnia mitologia przyrodniczego uzasadnienia, posiadająca dla niektórych „racjonalistów" walor argumentu przesądzającego

PRZYJRZYJMY się więc uważnie, kiedy, jak i w jakich okolicznościach rodzą się wyolbrzymione apetyty erotyczne, „uzasadniające" obiektywną wartość erotycznej aktywności.

Co — poza ogólnikami — wiedzą 10-letni chłopiec lub dziewczynka w Polsce o fizjologii i anatomii swego własnego organizmu? — Nic! Uświadamiani od najwcześniejszego dzieciństwa „ornitologicznymi" metodami wiedzą już jednak wszystko albo prawie wszystko mając lat 7 o tajemnych rozkoszach życia płciowego. Chłopiec zna z wulgarnego opisu i poczynionych obserwacji anatomiczną budowę kobiety, ale zna ją tylko ze względu na życie płciowe, w które i on sam ma wkroczyć w odpowiedniej chwili. Dzieci gromadzą starannie tajemniczą wiedzę, której urok, ze względu na tajemniczość, jest dla nich tym większy. Kobieta pokazywana jest chłopcu jako partnerka płciowa — niezbędny warunek osiągnięcia satysfakcji zmysłowej, przedstawianej z góry jako jeden z głównych celów życia. W podobnej atmosferze wychowuje się dziewczynka, dla której rola mężczyzn ze względu na ich płeć sprowadza się do udziału w romantycznych przygodach. Treść stosunków pomiędzy płciami przedstawia się dzieciom wyłącznie w płaszczyźnie zmysłów. W cieniu pozostaje rozrodcza funkcja życia płciowego, o której chłopcy czasem nawet dobrze nie wiedzą. Chłopiec i dziewczynka, choć sami jeszcze niedojrzali i nie odczuwający „zewu płci", wzrastają od najmłodszych lat w mniej lub bardziej subtelnej atmosferze zmysłowości, w otaczającej sprawy płci aureoli tajemniczości i niedopowiedzeń, w brukowej wiedzy o życiu płciowym. Ta atmosfera w pewnym stopniu przyśpiesza, oddziałując na ich system nerwowy, proces dojrzewania płciowego, które dokonuje się w warunkach wyrafinowanej, kultywowanej zmysłowości, promieniującej od starszego pokolenia. „Atletyzm seksualny" mężczyzn główne źródło znajduje więc nie w naturze człowieka, tylko w zmitologizowanej, erotycznej wartości kulturalnej. Podobnie „wyuzdanie" kobiet należy do mitologii erotyzmu i jest jak najściślej z nią związane, co ujawnił w swych badaniach prof. Kinsey.

Wyrasta młodzieniec wychowany na mężczyznę świadomego swych możliwości, głodny zmysłowego wyżycia, pałający chęcią „zrealizowania swej męskości", absolutnie nieprzygotowany natomiast do roli męża i ojca, pozbawiony zdolności do altruistycznego uczucia, widzący w kobiecie partnerkę seksualną, a nie towarzyszkę życia. Dziewczyna wychowana w takiej atmosferze równie niecierpliwie oczekuje momentu i okazji dla wkroczenia w swą rolę z góry określoną przez zmitologizowany, egzaltowany erotyzm. Jeśli przelotne związki nie zaspokoją dostatecznie ich sztucznie wyolbrzymionych apetytów zmysłowych, czują się zmuszeni wstąpić w związki małżeńskie celem pełniejszego wyżycia i odnalezienia pełnego zaspokojenia. Kryterium doboru partnera jest — szczególnie u mężczyzny — ukształtowane z góry przez cel wstąpienia w związek małżeński. Partnerka ma być przede wszystkim partnerką seksualną. Wkrótce po ślubie zostaje matką i traci atrakcyjność dla nadmiernie rozbudzonych zmysłów, a w każdym bądź razie przestaje być wyłącznym ośrodkiem zainteresowania pod tym względem. Życie jest bogate, możliwości moc, sytuacje życiowe sprzyjają zmysłowym zbliżeniom wśród ludzi stale ich poszukujących; toteż nic dziwnego, że młody małżonek i ojciec, zanim jeszcze zdążył znaleźć się w nowych rolach, łamie bez zbytnich skrupułów zasadę wyłączności małżeńskiej, zgodnie z przyjętym systemem wartości, zgodnie z zasadami kultywowanego erotyzmu. Tymczasem nieszczęsna partnerka została już matką i — jeśli nawet pierwotne pobudki wstąpienia przez nią w związek małżeński były podobne — fakt macierzyństwa zmienia do głębi jej psychikę. Dąży do wyłączności małżeńskiego związku, czuje potrzebę wsparcia w mężczyźnie, który jest ojcem jej dziecka, założenia domu, szuka zaspokojenia nie tylko w zmysłach, ale przede wszystkim w rozwijającym się, ludzkim uczuciu miłości, chce widzieć w mężczyźnie nie tylko partnera seksualnego, ale przede wszystkim zasługującego na szacunek i miłość towarzysza życia. — Oto schematyczny obraz konfliktu leżącego u podłoża setek tysięcy tragedii ludzkich, nie tylko tych ukoronowanych formalnym rozwodem. Tragedii uwarunkowanych przez prymitywny kult erotyzmu, który jako treść kultury zdobył sobie prawo obywatelstwa i zaciążył na życiu i losach ludzi. Oto jedna z głównych przyczyn 600.000 nielegalnych poronień dokonywanych co roku w Polsce.

KULTURA współczesna, której w naszych socjalistycznych warunkach nie wypełniliśmy jeszcze w dostatecznym stopniu nowymi treściami, pozostawiła jeszcze dotychczas w swych ramach miejsce na destrukcyjny, prymitywny zespół autonomicznych wartości hedonistycznych, będący na równi spadkiem po schyłkowej kulturze burżuazyjnej i następstwem jej obecnego wpływu, co i specyficzną funkcją pewnych procesów cywilizacyjnych rozbijających dawny porządek społeczno-obyczajowy. W jej ogólnospołecznych ramach przestały funkcjonować jakieś jednoznaczne, zobiektywizowane wartości małżeństwa i rodziny jako wartości nadrzędne, wyznaczające zakres swobody obyczajów i kształtujące procesy wychowawcze — wyznaczające role społeczne mężczyzny i kobiety jako męża i żony, jako rodziców. W toku wychowania można przysposobić człowieka równie dobrze do życia w małżeństwie, dla małżeństwa i dla rodziny, co i dla kultywowania prymitywnych, hedonistycznych wartości, wyolbrzymiających rolę zmysłowego wyżycia i przyznających mu jakąś szczególną rangę w kulturze.

Nie wychowujemy dla małżeństwa i rodziny, nie dziwmy się więc ich rozkładowi, gdyż radykalnie zmieniły się obiektywne warunki społeczne determinujące ongiś role społeczne małżeństwa i rodziny, i kształtujące obyczajowość seksualna.

Chrześcijańskie pochodzenia wzoru monogamicznego małżeństwa i rodziny jako norm obyczajowo-moralnych wystarcza niektórym dla ich odrzucenia. Trzeba jednak powiedzieć, że to trochę za słaby argument. Przypuszczam, że żaden chrześcijanin nie będzie domagał się uznania przez niewierzących sakralnego charakteru związku małżeńskiego, natomiast każdy rozsądny człowiek i obywatel ma prawo i powinien domagać się poważnej analizy wzorów i norm obyczajowych i moralnych ze względu na ich społeczne znaczenie.

Kto podejmie się udowodnić, porzucając pozycje wulgarnego filozoficznego biologizmu, że dziedzinie obyczajowości płciowej przysługuje jakaś szczególna autonomia w socjalistycznej kulturze? Kto podejmie się udowodnić, że nie leży w interesie socjalistycznego społeczeństwa utrzymanie monogamicznego charakteru związku małżeńskiego, trwałej rodziny i podporządkowanie tym podstawowym społecznym wartościom obyczajowości płciowej? Kto, orientujący się choć trochę w fizjologii i neurologii może twierdzić, że niemożliwa jest wstrzemięźliwość przedmałżeńska młodzieży, która jest ze wszech miar, z fizjologicznego punktu widzenia wskazana? Kto potrafi odmówić człowiekowi możliwości panowania nad swymi nie rozbudzonymi w sztuczny sposób zmysłami, nie odmawiając mu równocześnie prawa do człowieczeństwa?

Ludzi trzeba uczyć ludzkich potrzeb, uczyć żyć i uczyć szukać szczęścia bardziej godnego miana człowieka. Wychowywać trzeba nie tylko dla pracy i szerokiego życia społeczno-politycznego, ale również dla małżeństwa i rodziny jako pewnych wartości o wysokiej randze humanistycznej, wynikającej z potrzeb życia społecznego i troski o przyszłe pokolenia. Przy zmianie ekonomicznych i częściowo również społecznych treści małżeństwo jako instytucja społeczna nie utraciło żadnej ze swoich podstawowych funkcji. Pozostało najlepszą szkołą altruizmu i sublimacji życia uczuciowego, wykształca wiele postaw niezbędnych w życiu społecznym, utrzymuje wiele ważnych funkcji ekonomicznych i stanowi oparcie na starość, gdy wygasają namiętności zmysłowe. Wreszcie stanowi ekonomiczną i społeczną podstawę rodziny jako środowiska wychowawczego, kształtującego człowieka przede wszystkim właśnie w dziedzinie moralności i życia uczuciowego.

Interes społeczny wymaga stanowczego położenia tamy i przeciwstawienia się autonomicznemu kultowi zmysłów jako pewnej treści kultury, która zdobyła sobie u nas prawo obywatelstwa. Treści obcej socjalizmowi, prymitywnej i wstecznej. Interes społeczny wymaga podporządkowania obyczajowości płciowej wyższym wartościom, których spełnienie przyniesie ludziom z pewnością więcej ludzkiego szczęścia i da im szersze humanistyczne perspektywy. Z pewnością nie jest to praca łatwa, ani dająca szybkie rezultaty. W służbie zadań humanizacji naszego życia w tym zakresie znaleźć się powinny prócz kościoła przede wszystkim szkoła i uniwersytet, prasa i film, radio i książka. Zająć się tymi sprawami w sensie kształtującym, wychowawczym powinny masowe organizacje społeczne. Sprawy te stanowią odrębne zagadnienie i wymagają osobnego opracowania. Idzie przede wszystkim o wyraźne sformułowanie ról społecznych mężczyzny i kobiety jako męża i żony, jako rodziców, oraz o zobiektywizowanie na tle całokształtu kultury i w najściślejszym z nią związku norm obyczajowych w zakresie życia seksualnego, a także arcytrudną sprawę „szkoły sublimacji życia uczuciowego".

Na zakończenie chciałbym wyjaśnić, że mówiąc o ideowej ofensywie w dziedzinie obyczajowości seksualnej mam na myśli szeroką, szczerą, otwartą dyskusję, opartą o wiedzę naukową i uzbrojoną ideologicznie z perspektyw wielkiego humanizmu, godnego epoki socjalistycznej.

Que viva Mexico!

DIEGO Rivera odwiedził przejazdem Warszawę. To już drugi obok Siqueirosa wielki malarz meksykański w Polsce. Przyjazd Siqueirosa i sprawa dekoracji Stadionu przerodziła się w aferę. Pisał o tym felietonista „Nowej Kultury", odpowiedziało „Życie Warszawy" — plastycy milczą. Bo plastycy starszego i — nie tylko starszego pokolenia — nie znoszą meksykańskiego malarstwa, nie lubią Siqueirosa. Sztuka meksykańska to za wielki wiatr na ich wełnę. Drażni jej społeczny charakter, jej ekspresja, jej patos, jej brutalność, jej ogromna siła wyrazu. Mówią że to nie malarstwo, że nie ma tam zestawień, że nie ma piękna. Na szczęście takie głosy nie są w stanie pomniejszyć znaczenia meksykańskiego malarstwa ściennego, ani w jakikolwiek sposób wpłynąć na jego wspaniały rozwój.

Bardzo dobrze. Nie nazywajmy tego malarstwem — to jest broń społeczna. A niedostrzeganie jej oddziaływania w Meksyku i w całej Ameryce jest zwykłym ignorantcwem. Po diabła piękne zestawienia kolorów w obrazku, który nikogo nie obchodzi, nikogo nie wzrusza. A freski Orozca, Rivery, Siqueirosa odwiedzały procesje ludzi. Dla milionów ludzi była to sztuka wyrażająca współczesne dążenia. Dla milionów była nauką i źródłem siły. Zaprzeczanie wartości meksykańskiej sztuki, to ignorowanie tego co w niej najpiękniejsze — ignorowanie humanizmu.

Meksyk jest dziś jednym z najsilniejszych ośrodków nowoczesnej kultury w skali światowej. Jedyny kraj, w którym malarstwo ścienne i grafika stały się sprawą powszechną i codzienną. Fenomenalnie rozwijające się ognisko nowoczesnej achitektury. Ojczyzna wielu znakomitych i oryginalnych muzyków, których znaczenie — jak w wypadku Carlos Chavez — wykracza daleko poza Amerykę. Kraj, który zaczyna w ostatnich latach zdobywać sukcesy w dziedzinie filmu i teatru. W każdej dziedzinie ujawnia swój wielki potencjał, swoje możliwości rozwojowe.

Gdyby okazja bezpośredniego zetknięcia się z meksykańskim malarstwem ściennym została niewykorzystana — czy przez pewne czynniki storpedowana — byłby to nie tylko skandal ale i głupota. Tak wielkiego i monumentalnego założenia jakim jest dekoracja Stadionu może się podjąć tylko malarz, który ma odpowiednie doświadczenie i odpowiedni autorytet. Takim malarzem jest Siqueiros. Atak na Siqueirosa to chyba zwykła zawiść, zaślepienie i zarozumiałość ze strony polskich malarzy. Nie tak łatwo przechodzi się od staromiejskich kamieniczek i martwych natur do nowoczesnego stadionu. Czy nie można by się od tego „rewolwerowca" Siqueirosa czegoś nauczyć? A może jednak on trochę więcej wie o malarstwie ściennym.

Niechęć do malarstwa meksykańskiego uzasadnia się argumentami estetyki, kanonami smaku. Każda grupa malarzy ma swojego „boga". Dla jednych jest to Fałat, dla innych Cezanne, Picasso czy Klee. Ci „bogowie" kłócą się podobno z olimpem meksykańskim. Niech się kłócą, to ich sprawa. Nie można tylko zapominać, że warunkiem rozwoju kultury jest wielotorowość. Nie można zapominać, że współczesność to nie tylko jeden mistrz, jedno bożyszcze, któremu wszyscy muszą bezwarunkowo służyć. Współczesność to Picasso i Bonnard i Rivera i Klee i Kandyński. Formuła współczesności to formuła bardzo złożona. Nie można jej określić jednym lapidarnym wzorem. Malarstwo, które powstało w Meksyku jako zdobycz współczesnej sztuki jest własnością wszystkich ludzi — jest jednym z odbić współczesności. Nie wyłącznym, ale jednym z wielu. Nie wyklucza odbić innych — nawet krańcowo różnych. W rodzimym języku Rivery ta jedność kontrastów nazywa się lapidarnie „sol y sombre".

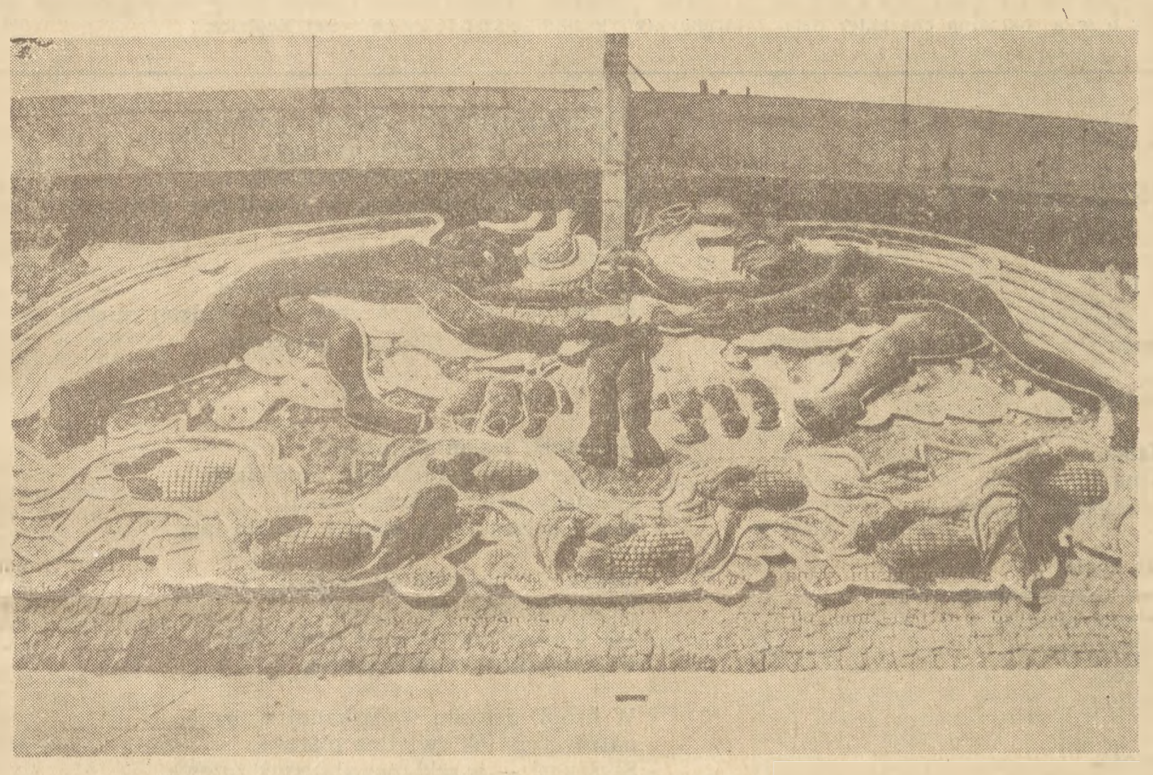

Diego de Rivera. Fragment mozaiki na stadionie

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15)). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.

Zam. nr 204.
B-7-22221

Spór o biografię

(Dokończenie ze str. 1)

mik), przyjęli zewnętrzną draperię: szkodliwe nawyki i szokującą manierę, podniesione przez Lichniaka do rangi znaku ochronnego.

W codziennej praktyce nasz prywatny stosunek do bliźnich mieści się na ogół w ramach dziesięciu przykazań. Ściślej: ogranicza się do prawnego przestrzegania sześciu zakazów. Każda bezinteresowna próba wyjścia poza taktyczną płaszczyznę wzajemnej nieagresji, o ile nie jest dwustronnym paktem handlowym, wywołuje uczucie konsternacji i zażenowania. Wydaje się, że zbyt pryncypialnie, zbyt programowo i perspektywicznie kochamy C z ł o w i e k a, by mieć czas na indywidualne n i u a n s e. Wewnętrzny spór o kształt i piękno konkretnej osobowości jest u nas najbardziej zaniedbaną dyskusją.

Nasza wiedza o Lichniaku jest wiedzą żenująco jednostronną. Nasze zainteresowanie Lichniakiem jest zainteresowaniem czysto komercyjnym.

Krzywda, jaką wyrządziliśmy Lichniakowi, posiada dokładną metrykę.

Kształtował Lichniaka c z a s l u d z i b e z n a z w i s k i z j a w i s k b e z p r e c e d e n s u. Kształtował Lichniaka czas, który podniósł do rangi jedynego prawa — kryterium rewolucyjnej p r z y d a t n o ś c i.

W pionierskim okresie „trzebienia drzew" legitymowała młodego krytyka wyjątkowa przydatność publicystyczna: ideologiczna żarliwość, temperament polemiczny, łatwość pióra, błyskotliwa inteligencja oraz żywiołowa elokwencja. Inne walory były niewątpliwie walorami w t ó r n y m i.

Okres drwali minął. Nastąpił okres inżynierów. Lichniak wkroczył w nową epokę ze starą s i e k i e r ą w dłoni.

Ponieważ publicystyczna działalność Lichniaka w ostatecznym rezultacie jest niewątpliwie działalnością korzystną, realizuje bowiem w zasadzie dawny postulat pryncypialnej przydatności, spór o prywatną c e n ę tej działalności staje się sporem bezprzedmiotowym.

W konsekwencji zepchnięty został do rzędu zagadnień czysto osobistych (a więc nie podlegających społecznej weryfikacji) nie tylko: 1) problem jaskrawej dysproporcji między miarą talentu oraz skalą tkwiących w Lichniaku *in potentia* uzdolnień intelektualnych a stopniem ich wykorzystania i metodą ich realizacji, lecz również 2) problem specyficznego przywiązania Lichniaka do charakteru, form oraz metod dotychczasowej działalności, wreszcie bardzo ciekawy 3) problem zupełnego braku jakichkolwiek wewnętrznych zastrzeżeń co do prawidłowości własnego procesu rozwojowego.

Lichniak oczywiście tych czysto osobistych zagadnień nie widzi. Jest zbyt p r z y z w y c z a j o n y do siebie.

Każda epoka ma własnych wychowanków. Okupacja stworzyła ludzi „zarażonych śmiercią". Ubocznym produktem pierwszego okresu pionierskich lat rewolucji są Nagulnowie — „zarażeni walką". Jeden z potomków Nagulnowa mieszka w Warszawie, robi w krytyce katolickiej, nazywa się Zygmunt Lichniak.

Kilkuletni okres ochotniczej służby frontowej, który pozwolił Lichniakowi odkryć urzekający s m a k w a l k i, pomógł równocześnie krytykowi znaleźć własny genre. Sztabowiec *in spe* przy ogólnym aplauzie przeobraził się w zagończyka. W i e l k a k i e r u n k o w a określiła charakter działalności, narzuciła dobór środków i metod, zdecydowała o warsztacie i o jakości wyników. W rezultacie od dziesięciu lat, absolutnie nic nie rozumiejąc, patronujemy z sympatią i pobłażliwością intelektualnemu kostnieniu, intelektualnemu wygodnictwu i intelektualnemu minimalizmowi Lichniaka.

Dziesięć lat wystarczy aż nadto, by zbudować trwałe fundamenty indywidualności twórczej lub zmanierować pisarza. W ciągu dziesięciu lat przyzwyczailiśmy się bez większych zastrzeżeń, aprobować a t a k jako naczelną zasadę działania oraz w a l k ę jako generalny wykładnik stosunku Lichniaka do otaczającej go rzeczywistości. Nie dziwi nas więc zgoła ani krótki oddech, ani nałogowa niecierpliwość Wielkiego Laufra.

Nie kocham Lichniaka. Nie lubię facetów z fasonem. Drażnią mnie jego taśmowa produkcja literacka, jego styl, jego maniera, jego metoda żenującego epatowania smarkatych adeptów Krytyki i Literatury. Przede wszystkim jednak mierzi mnie krótkowzroczna, anachroniczna, kanibalska zgoła polityka d o r a ź n e j u t y l i z a c j i i d e o l o g i c z n e j, zwietrzały relikt pierwszych lat Prowizorium i Wielkiej Improwizacji — generalny wykładnik naszego codziennego stosunku do wspaniale zapowiadającego się twórcy — w i e l k i e j s z a n s y krytyki katolickiej. Mierzi mnie tym bardziej, że sytuacja na tym odcinku frontu nie jest, niestety, najlepsza.

Utajony, a co za tym idzie, przewlekły kryzys rodzimej krytyki katolickiej przybrał ostatnio bardzo atrakcyjny kształt o s o b i s t y c h r o z r a c h u n k ó w. Zainteresowanym wypada chyba życzyć jedynie: na zdrowie! *Bellum omnium contra omnes* jest przyjemniejsza niewątpliwie w smaku i mniej przykra w skutkach od słusznie uogólniającej, lecz bezpłodnej w gruncie rzeczy diagnozy. Jako czysty profit pozostaje przynajmniej uciecha z zabawy...

Naturalny, bo narzucony częściowo przez układ sił, ograniczony w pewnym stopniu zasięg katolickiej krytyki literackiej, w praktyce odbija się zupełnie nieoczekiwanie przede wszystkim na jej charakterze, który staje się coraz bardziej kameralny, co sprawia, że w rezultacie wszystkie groźne objawy kryzysu przybierają konsekwentnie niepokojąco kameralne wymiary. Zamiast sztormu, sporadyczne burze w krakowskim i warszawskim akwarium. Prawem przewrotnego kontrastu, w zaczarowanej krainie odwróconych proporcji, w parnej atmosferze doraźnej waloryzacji talentów, bujnie krzewi się nieziemska megalomania, groteskowa „pępkowatość" (bardzo celne określenie Z. Lichniaka) oraz problemowa makrosomia.

Jeżeli już dyskusja o poezji, to koniecznie w wymiarach magistranckiego formułowania seminaryjnych kanonów nowej poetyki (średnia arytmetyczna: Józef Kłak + Adam Mickiewicz); jeżeli debiut poetycki lub zbiorek opowiadań, to koniecznie w skali „Ballad i romansów" lub pionierskiej „Pałuby"; jeżeli warsztatowa wypowiedź nagrodzonego debiutanta, to od razu rozważania na płaszczyźnie „Alchemii słowa" z intymną podobizną wiernej Beatrice.

W tropikalnym klimacie intelektualnego inkubatora, w podwyższonej temperaturze sztucznego dojrzewania talentów zacierają się właściwe proporcje, znika zdrowy rozsądek, niepostrzeżenie ginie elementarne poczucie publicystycznego taktu i intelektualnej przyzwoitości.

Ten smutny stan rzeczy częściowo przynajmniej zdeterminowany został bezsprzecznie czynnikami natury obiektywnej.

Najgroźniejszą chorobą katolickiej krytyki literackiej był i jest niewątpliwie katastrofalny b r a k k a d r. Większość g ł o ś n y c h n a z w i s k w dziedzinie krytyki katolickiej to nazwiska w s t r o n i e b i e r n e j. Chroniczny brak mądrych nauczycieli oraz doświadczonych pedagogów (przerafinowane np. podniebienie dziadzia Lichańskiego reaguje niestety jedynie na pikantne przystawki: dyskusja o dyskusji czyli dyskusja do kwadratu, krytyka krytyki czyli antykrytyka itp.), z drugiej zaś strony chaotyczny, niczym nie regulowany, wciąż jeszcze nie odpowiadający ilościowo ani jakościowo konkretnym potrzebom, napływ dyplomowanych studentów na poligon krytyki katolickiej przyczynia się bezpośrednio do powstania w tej dziedzinie jedynej w swoim rodzaju groteskowej sytuacji.

Sytuacja krytyki katolickiej przypomina w pewnym stopniu kłopotliwą sytuację dzielnego oddziału dziarskich chłopców z Placu Broni: brak w niej etatu zwykłego szeregowca.

Podczas gdy dziesiątki młodych polonistów z obozu marksistowskiego po złożeniu egzaminów i opuszczeniu macierzystych uczelni rozpoczynają co roku w czasopismach i wydawnictwach długoletnie, żmudne terminowanie w dziale krytyki literackiej, terminowanie, którym rządzi niepodzielnie rygorystyczna zasada selekcji i współzawodnictwa, przebieg zaś jest nieustanną manifestacją zamiany ilości w jakość, u nas każdy bardziej zdolny polonista wraz z dyplomem otrzymuje automatycznie patent oraz koncesję na indywidualność.

Młody, sympatyczny student, równie inteligentny niewątpliwie jak jego czterdziestu uniwersyteckich kolegów, budzi się pewnego dnia jako jeden z ośmiu lub dziesięciu speców, którzy decydują o obliczu rodzimej krytyki katolickiej. Z reguły staje się wówczas oczywiście mniej sympatyczny. Z reguły również jakość zamienia się w ilość.

Piszemy za miliony albo nie piszemy wcale. Młodzi krytycy katoliccy piszą przeważnie za miliony. Zupełnie wyjątkowo — za siebie. Bezosobowość stała się ich drugą naturą.

Bodaj czy nie w tych okolicach szukać należy genezy tragicznie lichniakowskiej: t w a r z y z a w s z e l k ą c e n ę.

Młoda krytyka katolicka jest krytyką typowo szkolarską. Studenci, którzy wchodzą po raz pierwszy na łamy pism wprost z sal seminaryjnych, pakują we wszystkie drukowane wypracowania całą zdobytą na seminariach wiedzę. Stąd prawdopodobnie płynie rozkładowe w swym wychowawczym oddziaływaniu, umyślnie podkreślane przez Lichniaka lekceważenie formalnego wykształcenia polonistycznego.

Do tej pory toczyły się spory z Lichniakiem. Czas rozpocząć spór o Lichniaka. Spór o Lichniaka staje się bowiem w konsekwencji sporem o przyszły kształt młodej i najmłodszej krytyki katolickiej.

Zbigniew Jakubik

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Cztery pory miłości

Żonie

I

Miękkie przepływy czasu
podcinają nasz brzeg,
młodość spłukują z twarzy.
Stoimy pochyleni
nad falą biegnącą za falą,
nad roślinką przybrzeżną
wyrastającą w drzewo naszych marzeń.

Przepływają fragmenty życia
jak kra pocięta ciepłym nożem wiatru.
Zasłuchani w westchnienia mostów
oblężonych przez okruchy pamięci,
lękamy się, by nasze brzegi
nie spłynęły poza horyzonty.

Gdzieś przebiła się radość.
Powleka łąki zielenią.
Rozwiesza oddechy ziemi
na gwoździkach kaczeńców.
Dźwięczą trącane o wiatr
młode listki drzew.
Świerki i sosny czyszczą swoje igły
ze śniedzi surowych miesięcy.
Ułamaliśmy z nadbrzeżnych wierzb
puszyste oznaki miłości.

II

Miłosny piasek dla twojej stopy,
trawa przyjazna dla twoich ramion,
jagody słodkie — te co nie kłamią,
deszcz, który oczu twoich nie zmoczył.

Kamyk kąśliwy i ciernie cierpkie,
żuk — ten straszliwy potwór spod listka,
niezaproszone pociągu gwizdki,
wędrówką leśną znużone sierpnie.

Wszystko odpływa, wszystko powraca,
jak cztery barwy piłki okrągłej,
poczwórna życia i roku mądrość
w lusterkach szczęścia, w chusteczce płaczu.

Znieruchomieją i pozostaną:
uśmiech — przyzwanie i zapytanie,
od mchów puszystych zmierzch bardziej miękki
i sen w kolorze młodych pajęczyn.

III

Szeleściła jesień po liściach,
chlupotała w dziurawych chodakach,
zezujący wiatr latarnią łyskał,
tropił w zmierzchu zbiegłe strużki lata.

Pocałunki jesienne są cierpkie,
pocałunki zimowe są jasne,
jak planety przebiegają przestrzeń,
w przełamanym łuku gasną.

W kropli deszczu wyłuskanej z cienia,
nasze życie jak świetlna muszka.
Słyszysz? — w szklanej klateczce śpiewa,
potem ścichnie a potem uśnie.

Ubezpieczasz skrzydłami okiennic
ściany ciepła rozpięte na zmierzchu,
lampą na pół rozcinasz ciemność.
Ludzie wejdą w nasz świat jak do mieszkań.

IV

Na oczach kołysze się noc,
na ustach zawisnął szmat nieba —
odbicie śniegów różowiejących.
Przyszłość i przeszłość nad nami —
przeloty burzliwych obłoków.

Sosny, sosny bolesne,
przyjaciółki spokoju,
wierne strażniczki rzeczy,
których dotknąć nie umiemy.
Na was wspierają się gwiazdy,
przeczucia ludzkich ogni.

Niech księżyc srebrem nie puka
do naszych okien.
Niech chmura cieniem nie płoszy
naszych zamyśleń.
Niech mróz do serc nie sięga —
skryte głęboko.
I pustka niech nie czeka
na nasze przyjście.

Z przestrzeni obcych i szklanych
łza światła ścieka.
Zimowe kwiaty zapalam,
zgaś wzrok powieką.

Twarz robotnika

Złote noże dzieliły światło
na plasterki cieńsze od banknotu.
Złote noże odkroiły miasto
od świata drzew i traw.
Nad kamienicami
szarzały proporczyki nieba.
Popielała na opuszczonym bruku
Nadzieja — gałąź płonąca.
Nie wystarczało zieleni
na przykrycie zabitych oczu.
Lustra spasionych wystaw
niechętnie odbijały szarość,
która mieści wszystkie kolory smutku:
barwę zmęczenia
barwę niepokoju
barwę głodu.

Głód blaknie od radości chleba.
Nakarmione dzieci płoszą niepokój.
Kiedy mądrość naszych dni
zdejmie barwę popiołu
z twarzy robotnika?

Rys. Gabriel Rechowicz

SPOTKANIE Z OUTSIDEREM

SŁAWOMIR BŁAUT

1

JEST w „Sporze o biografię" jedna obserwacja, której — w przeciwieństwie do wielu innych spostrzeżeń i sugestii felietonu — nie podobna odmówić dużej celności. Wymieniwszy różne przywary pisarstwa Zygmunta Lichniaka autor „Sporu" konkluduje: „Lichniak oczywiście tych czysto osobistych zagadnień nie widzi. Jest zbyt p r z y z w y c z a j o n y do siebie". Nie podzielam szeregu opinii Jakubika, nie ufam jego diagnozie, przypuszczeniom i wnioskom, ale w tym wypadku jest chyba bliski wykrycia nie tyle klucza do rozwikłania indywidualnego problemu, ile jakiejś bardziej ogólnej prawidłowości — czy nieprawidłowości? — psychologicznej. Bo odniesiona w felietonie do osoby konkretnej, do konkretnego zjawiska, obserwacja pozwala na rozszerzające, choć nie wiem czy zgodne z intencjami autora uogólnienie: do siebie samych jesteśmy przyzwyczajeni nadmiernie. Ta niedogodność, której działaniu w różnym stopniu podlegamy wszyscy, ogranicza i utrudnia nam bezstronną krytyczną ocenę nas samych. Zwłaszcza ocenę własnych błędów i słabości. Grozi — szczególnie w tym zakresie działania, które wymaga ciągłego napięcia intelektualnego — utwierdzaniem się w błędach, wygodnictwem, bezruchem myślowym. Dlatego nie można polegać tylko na sobie, nie można w sobie upatrywać jedynej gwarancji, ale stale odwoływać się trzeba do kontroli społecznej, do opinii tych przede wszystkim ludzi, z którymi wiąże nas wspólnota przekonań i działań. Dlatego również może okazać się pomocne spojrzenie z boku, spojrzenie kogoś, kto nie będąc nami — w sensie odmiennego sposobu myślenia, wartościowania, temperamentu itd. — i nie podzielając wszystkich naszych poglądów widzi ostrzej (co nie zawsze znaczy: trafnie i bezstronnie) nasze błędy, jest na nie bardziej wrażliwy. Pewnie to odkrycie nienajnowsze — bo na czymże innym opiera się choćby mądra i sędziwa instytucja krytyki? — ale jak wspomniałem, jakaś prawda psychologiczna tu tkwi, a co ważniejsze działa w naszym życiu kulturalnym i miewa niepoślednie konsekwencje.

Do pewnych zasad, znanych powszechnie od dawna a nie mających u nas dotąd należnego miejsca, dochodzimy obecnie na nowo i prawa obywatelstwa im przywracamy. Nie jest to, jak chcą niektórzy, oznaką generalnego odwrotu; odchodzimy tylko od zbyt ciasnych wyobrażeń, bogatsi o doświadczenie kilku lat rewolucji staramy się mądrzej, bardziej dojrzale patrzeć na zawiłość jej procesów. Tego doświadczenia, jakie mamy za sobą, i dokonanych odkryć, choćby wydawały się powtórzone, lekceważyć nie wolno. Bo w kulturze nigdy to samo nie dzieje się dwa razy i one są nasze własne. Dlatego teraz, kiedy odczuliśmy dotkliwie gorzki smak powszechnego „przyzwyczajenia się do siebie", kiedy sami otarliśmy się o dno tej starej, groźnej prawdy, chcemy się przed nią bronić; patrzymy na siebie samych i na wszystko, z czym przyjdzie nam się zetknąć, krytycznie, wsłuchujemy się uważnie w „głosy z boku", uczymy się cenić każdą rzeczową wymianę zdań — i nie jest to tylko powrót do tego, co już kiedyś było, ale nowe zjawisko, o nowej funkcji i nowym zakresie działania. Pamiętać wszakże trzeba o jednym, czym się zbytnio zdaje nie przejmować autor „Sporu" — że mimo wyjątkowego natężenia nie ma nikt niechlubnego monopolu na nadmierne przyzwyczajenie się do siebie; że jest to przypadłość powszechna i wzrost odwracalny.

2

WCALE się nie dziwię, że Lichniak i najmłodsi krytycy tak bardzo Jakubika irytują. Że gniewa go megalomanią i nijakość najmłodszych. Że Lichniak drażni go przybieraną raz po raz pozą, nieznośną manierą, niezachwianą pewnością siebie, nadmiarem elokwencji czy nieprzeliczoną ilością swoich publikacji. Nie mam ambicji hagiografa. Mnie to wszystko — a wiem że nie tylko mnie — też irytuje i drażni. Ale — jak wiadomo — kiedy dwóch mówi to samo, to nie jest to samo. I z autorem „Sporu" nie zgadzam się przede wszystkim dlatego, że nie wyczuwając powierzchownej tylko czy jednostronnej racji swoich spostrzeżeń uogólnił je — uogólnił fałszywie. Nie szukając — tam gdzie można by je znaleźć — istotnych sprężyn zaobserwowanych zjawisk, dorobił im fikcyjną metrykę.

Zapatrzony w powierzchnię zjawisk, wstępną fazę rewolucji kulturalnej traktuje Jakubik jako całość zamkniętą w sobie i już wygasłą. Jej łączność z okresem obecnych dyskusji widzi jedynie w spotykanych tu i ówdzie reliktach dawnych, dziś już — jego zdaniem — skompromitowanych sposobów myślenia i działania, które też tropi zajadle. Skupiwszy uwagę na jej małym wycinku, skrupulatnie zbiera wszelkie negatywy. Felieton wręcz dusi tym nagromadzeniem; jest chyba coś perwersyjnego w nieustającej seryjności wyliczeń błędów, pomyłek, słabości, które skupić w sobie miał jeden człowiek.

Przedmiotem szczególnego oburzenia autora „Sporu" jest odkrycie, że Lichniak lekkomyślnie roztrwonił wielki talent, marnując jednocześnie wielką szansę katolickiej krytyki. Że nie rozwinął i nie wykorzystał swych uzdolnień, że przez dziesięć lat nie wyszedł z intelektualnych powijaków. Zaraz też następuje cały rejestr jego intelektualnych przewinień: kostnienie, wygodnictwo, minimalizm... Wszystko to — od talentu aż po minimalizm — są pojęcia tak ogólne, o tak szerokim a przez to i wielorakim znaczeniu, że gdy dyskrecja autora pozwoli poznać jedynie ich nazwę, pozostają najzupełniej puste słowa, wyprane z jakiejkolwiek sprawdzalnej, konkretnej treści. Słowa, które są wymarzoną bronią demagoga.

Swój wyrzut adresuje Jakubik bardziej do systemu zorganizowania i kierowania kulturą niż do bohatera felietonu. Bo też w dużej mierze uznaje go za ofiarę tego systemu. Ofiarę rewolucji.

Spostrzegł bowiem, że rewolucja nie dzieje się za darmo i że koszty ponoszą aktywni jej uczestnicy. Bije na alarm, gdyż indywidualna cena rewolucji wydaje mu się i niepotrzebna, i zbyt wysoka, a w każdym razie hamująca normalny rozwój jednostki. I to jest z pewnością zagadnienie niebłahe.

3

PRZEŻYLIŚMY okres zbiorowej fascynacji intelektualnej. Byliśmy urzeczeni niezwykłą konsekwencją myślenia, jakiej uczył i wymagał marksizm nie tylko od swoich wyznawców; logiką odkrytych nam praw historii i praw życia społecznego; nowym porządkiem wartości; oczywistością stawianych sztuce wymagań. W osądzaniu i rozstrzyganiu byliśmy niezachwiani — posiedliśmy pewność i naraz śmiesznie małe wydały się wątpliwości i pytania minionych pokoleń. Również niedawne nasze własne wątpliwości i pytania. Na wszystko mieliśmy definitywną odpowiedź — dano nam klucz do rozumienia i przekształcania świata, czyż mogliśmy oprzeć się pokusie, ba, potrzebie, rozwikłania spraw, przed którymi od lat bezradnie stały najtęższe umysły? Ufaliśmy w niezawodną moc gotowych stwierdzeń ideologii; mieliśmy do niej stosunek żarliwie wyznawczy.

Oczywiście to próba prowizorycznego tylko określenia swoistego ekstremum życia umysłowego lat pięćdziesiątych; zwłaszcza ekstremum w profilu intelektualnym pokolenia, które rozpoczynając samodzielne życie już po wojnie od razu zetknęło się z rewolucją; próba określenia jednej skrajności, nie jedynej zasady. Był to przecież nadal czas wzmożonego poszukiwania podstawowych wartości, czas wyboru i agitacji ideowej, które prowadziły do różnych decyzji i różnych postaw; dla jednych — czas wielkiego wysiłku, dla innych — łatwego kompromisu czy ucieczki; czas niespodziewanych przeciwieństw i skrajności. Fascynacja całej złożoności ówczesnych przemian i przepaści intelektualnych nie wyjaśni, ale jest ich rysem istotnym, wskazuje na emocjonalny przede wszystkim stosunek do wybranych prawd. Była nieuniknioną ceną doświadczenia. Bo przyjąć rewolucję i podjąć jej zadania nie od razu znaczy: zrozumieć. I tej zasady uczyliśmy się przez kilka lat, musieliśmy sami doświadczyć jej negatywnego przede wszystkim wpływu.

W wielu dyskusjach dochodzimy dziś do ustalenia przyczyn wysokiej ceny, jaką zapłaciliśmy za zdobyte doświadczenie; do ustalenia granic konieczności, których nie można było przekroczyć, i granic odpowiedzialności — organizatorów kultury, pisarzy, publicystów — za błędy, których mogliśmy uniknąć.

Podobną próbę, tyle że ograniczoną do konkretnej osoby, podejmuje Jakubik i rozstrzyga ją prościej. Jedną skrajność — skrajność myślowego urzeczenia — podnosi do rangi prawa absolutnego: to powszechnie panująca wówczas bezmyślność jest przyczyną druzgocącej klęski Lichniaka. Bo cóż innego mogą oznaczać takie zdania: „Nie sprawdzano nigdy, co dawał". „Od dziesięciu lat, absolutnie nic nie rozumiejąc, patronujemy z sympatią i pobłażliwością intelektualnemu kostnieniu, intelektualnemu wygodnictwu i intelektualnemu minimalizmowi Lichniaka".

Skąd Jakubik ma takie informacje, pozostanie jego tajemnicą. Można wszakże podejrzewać — tak niewiele w nich choćby cienia prawdziwości — że jak to się pospolicie mówi, zostały wyssane z palca, tego organu, który stanowi niewyczerpaną kopalnię wiadomości.

4

CIĄGŁE wojowanie Lichniaka, które budzi tak ironicznie niechętne zdziwienie naszego pamflecisty, nie jest tylko jego fantazją, czy pozą krytyczną. To w dużej mierze kwestia nieprzeciętnego temperamentu publicystycznego, który jak sądzę nader korzystnie wyróżnia autora „Obrachunków" spośród ogólnej szarzyzny. Walka jest jego żywiołem; daje mu satysfakcję, wciąga i pochłania; w publicystyce walczącej, polemicznej, napastliwej odnajduje siebie. Tych motywów ani lekceważyć, ani pośpiesznie osądzać nie wolno. Tym bardziej, że pisanie — będąc zapewne i kompensatą, i szukaniem własnego zadowolenia i wyżycia się, szukaniem podniecającego smaku walki, będąc po prostu przyjemnością, a nie ponurą udręką — jest dla Lichniaka czymś więcej.

Wziął on na siebie zadanie czynnego uczestnictwa w procesie przeobrażania kultury przez rewolucję, zadanie przede wszystkim pobudzenia — w imię założeń przyjętej ideologii — aktywności twórczej środowisk katolickich i przyśpieszenia przemian, jakimi zostały objęte. Przyjął rolę, jak sam nazywa, twórczego prowokatora. Tym zasadom nadrzędnym stara się poddać swe pisarskie namiętności. Jeśli się przyjmie takie widzenie powołania krytyka—postawa wojująca, wzgardliwie określona przez Jakubika jako „zarażenie walką", nie wyda się ani objawem epidemii, ani anachronizmem. To nie donkichoteria, nie zmaganie się z urojeniami, ale konkretna problematyka i konkretni przeciwnicy. Konkretny zamiar opanowania chaosu zjawisk i działań przy pomocy określonych norm ideowych.

Agresywność i nieustępliwość autora „Obrachunków" trafia — obecnie w stopniu wcale niemniejszym niż kilka lat temu — na aktualne potrzeby życia kulturalnego. W przeróżnych dyskusjach i sporach, mających decydować o przyszłości kultury socjalistycznej, nie może zabraknąć głosu krytyka, który dotąd w jej problematykę angażował cały swój wysiłek. Zwłaszcza że wiele w nich zamętu i osłabienia napięć ideowych. Czas tych dyskusji jest czasem walki. Walki o pogłębienie i poszerzenie rewolucji. O podniesienie intelektualnej i estetycznej rangi twórczości socjalistycznej, jej społeczno-moralnego autorytetu. I udział w tych dyskusjach to nie szukanie emocjonującej przygody czy utwierdzanie fasonu. To po prostu obowiązek publicysty, naturalna konsekwencja dokonanego wyboru.

Pozostaje jeszcze problem metod, jakimi Lichniak posługuje się w swych publicystycznych wystąpieniach, a raczej problem ich specyficznych przerostów, które dają Jakubikowi okazję do zakwestionowania sensu i podstaw całej jego działalności. I tu autor „Sporu o biografię" jak i w innych wypadkach ma rację dotąd, dopóki trzyma się jako tako sprawdzalnego konkretu, dopóki mówi o sprawach namacalnych. A że konkret jest w felietonie gościem niesłychanie rzadkim i pełni funkcję podrzędną, służąc jedynie jako pretekst — nie dowód — do nader swobodnych generalizacji, więc też i racja autora niemal zawsze okazuje się pozorna. Otóż owe przerosty, jak skłonność do symplifikowania zagadnień, nadużycia inwektywy czy argumentu *ad hominem*, operowania ogólnikiem, bardzo zresztą skąpo przytoczone przez Jakubika, stanowią moment ważny, bo osłabiający skuteczność działania publicystyki Lichniaka, ale nie są jej dominantą czy w ogóle cechą trwałą. Jakubik jednak nadał temu, jak nazywa, ubocznemu produktowi rewolucji — zarażeniu walką — rangę wyłączności, wszelkie inne czynniki i wartości usuwając ze swego pola widzenia, negując podstawowe prawo poznania, które nauczyliśmy się respektować, nakazujące widzieć zjawiska w ich złożoności i wzajemnym uwarunkowaniu. I to jest konsekwentna metoda felietonu: uogólnienie przypadków skrajnie negatywnych, wyrwanych ze swego kontekstu i budowanie na nich jaskrawo tendencyjnego obrazu.

Warto wszakże, skoro jesteśmy przy tym zagadnieniu, zwrócić uwagę na jedną jeszcze stronę medalu. Ubocznym produktem rewolucji są również — tej skrajności jakoś nie wziął autor „Sporu" pod uwagę — „zarażeni niemocą", „porażeni bezwładem". Domorośli inteligenccy hamleci przerażeni ogromem wstrząsu historycznego, których tyle wizerunków utrwaliła literatura. Tracą zdolność jakiegokolwiek skutecznego i użytecznego społecznie działania zajęci jedynie pasjonującym problemem: obroną siebie przed rewolucją. Przed zamachem na własną niezależność. Wolą talent zakopać na dziesięć lat w ziemi, niż podjąć ryzyko wyboru. Walka i bezczynność. O tej antynomii postaw trzeba pamiętać. Pozwoli ona pełniej pojąć wysokość indywidualnej ceny rewolucji. Bo rachunek jest prosty: za nieobecnych musiał ktoś płacić podwójnie.

5

DLA pewnych kręgów ludzi zainteresowanych literaturą, wyznających jej swe umiłowanie i zdecydowanych—jak mówią wzniośle — bronić jej swobód, Lichniak stał się symbolem fanatyzmu i kulturalnego barbarzyństwa. Barbarzyństwa, które ma być powszechnym znamieniem aktywności kulturalnej w pierwszych latach rewolucji. Jakubik rysując postać nieokrzesanego drwala z siekierą w dłoniach, który zabłąkał się w „czas inżynierów", i znajdując mu literackiego patrona w osobie Makara Nagulnowa, bohatera Szołochowskiego „Zoranego ugoru", te opinie podtrzymał i utwierdził. Ta symbolika, jak i dokonana w „Sporze" periodyzacja ostatnich lat rozwoju naszej kultury, ów podział na „okres drwali" i „okres inżynierów", mają — że użyję słów autora felietonu — dokładną metrykę.

Wypływają z przekonania, że przeżyły się nie tylko pewne formy działania — przerosty i jednostronności — Lichniaka, ale również — a raczej: przede wszystkim — reprezentowane przezeń treści ideowe, cały zespół miar, wymagań, nakazów, w imię których chciał uczestniczyć w wielkiej przemianie współczesnej twórczości. Wypływają z przekonania, że od początku były te zasady koszmarną omyłką, niezrozumieniem i naruszeniem podstawowych praw sztuki i praw artysty. Wynikają z odrzucenia wartościowania ideowego jako nieużytecznego sposobu oceny i orientacji wśród zjawisk kultury.

Wydaje się, że zbyt pośpiesznie umieścił Jakubik p r a w o r e w o l u c y j n e j p r z y d a t n o ś c i w urządzonym przez siebie lamusie rewolucji. Wbrew przekornym sugestiom, w które każe wsłuchiwać się autor felietonu, nie straciło ono ani swej wagi, ani zobowiązywalności. Widząc dziś pełniej humanistyczne cele socjalizmu, szerzej patrzymy na to, co może i powinno im służyć. I trzeba było przespać chyba niedźwiedzim snem dziesięć lat, jakie mamy za sobą, by myśleć, że cele te przestały już być miarą zadań sztuki współczesnej.

6

OGARNIAJĄC szeroką problematykę współczesną pamflet Jakubika stawia ją po trosze na głowie. Nie byłoby w tym jeszcze nic zdrożnego: stawianie zagadnień *à 'rebours* — jako chwyt polemiczny, prowokujący do sprzeciwów, bijący w zastałość myślową — ma świetne tradycje literackie, a dziś, tracąc teren na rzecz tzw. zasadniczości, niestety niemal zupełnie zamiera. Czyż nie warto by wskrzesić tego obyczaju w naszej publicystyce, nie grzeszącej jak wiemy, szczególnym bogactwem form? Czyż nie trzeba nam wystąpień, które umiejąc wylegitymować ich celowość, przyjąć za nie odpowiedzialność, nie lękałyby się jednostronności i wyjaskrawień?

Ale właśnie odwagi i poczucia pełnej odpowiedzialności Jakubikowi nie dostaje. Krzyknąwszy: *veto*, uciekł szybciutko na Pragę. Swój „Spór o biografię" na wszelki wypadek opatrzył przecież wygodnym szyldem: felieton przekorny. Że niby to wszystko traktuje lekko, półpoważnie, niezobowiązująco. I niesposób nie zauważyć w tym nagłówku chęci umniejszenia własnego ryzyka, rozbrojenia i zmylenia umiejętnym unikiem ewentualnego polemisty, wytrącenia mu z rąk argumentów zasadniczych, które tak osobliwego gatunku publicystycznego podobno się nie imają; co nie da się złożyć na karb normalnych uprawnień felietonu czy pamfletu, rozgrzeszyć powinna przekora. Manifestacyjna przekora, która od lat bywa ulubioną maską indywidualistycznego buntu.

Swe tezy uznał przekorny autor za tak widać oczywiste, że nie próbuje ich wcale uzasadniać. Rola rzeczowego argumentu — który wedle Jakubikowej intelektualistycznej teorii wartości powinien, wydawałoby się, mieć niepoślednią rangę — zostaje gwałtownie a niefrasobliwie zredukowana. Zastępuje go domysł psychologiczny, przypowieściowa fikcja, efektowny aforyzm, wymyślna a dwuznaczna metafora. A więc stara, intelektualnie skompromitowana metoda niezobowiązującego gołosłowia, przybrana zręcznie w ponętne szatki. Metoda, w którą wedle zamierzeń autora uderzyć miał „Spór".

Nie chodzi tu jednak o łatwy rewanż. Wiem, że Jakubika stać na niemniej efektowne a bardziej uargumentowane wystąpienie, że stać go na udokumentowanie — w jakim stopniu przekonujące, o to można by się spierać poznawszy je szerzej — takiego właśnie widzenia wielu spraw nieuzgodnionych, jakie zaprezentował w „Sporze". A sprawy to na tyle poważne, że nie wolno traktować ich jako okazji do intelektualnej ciuciubabki. Nie wolno — oczywiście, nie w sensie administracyjnego zakazu — jeśli przywiązuje się jakąkolwiek wagę do skuteczności publicystycznego wystąpienia, jeśli w przedstawianą problematykę angażuje się na serio.

Tymczasem nasz felietonista kieruje główny wysiłek na ukrycie swej istotnej argumentacji. A także: na przemycenie pewnych twierdzeń — jego zdaniem — ryzykownych, bo nie mających oficjalnego stempla. Stąd zapewne płynie rozluźnienie dyscypliny intelektualnej, niechęć do faktów, zamiłowanie do mitów, symboli, aluzji, ogólników. Nie jest ważne dosłowne znaczenie stwierdzeń i sugestii felietonu, ale ich drugie dno. Taki kamuflaż powiększa chaos dyskusyjny i utrudnia porozumienie. Bo dyskusja tylko wtedy może być opłacalna, kiedy jej uczestnicy zachowując odrębność swych stanowisk respektują minimum wzajemnego porozumienia: język argumentów. Jeśli celem jest rzeczywiście przekonanie przeciwnika, możliwe jedynie w oparciu o to minimum.

Jeden sprawiedliwy, który czuje się powołany do tego, by ocalić Sodomę współczesnej kultury, tej płaszczyzny porozumienia nie wybrał.

7

SZUKAJĄC argumentów w obecnym sporze o kulturę, odwołujemy się stale do doświadczenia zdobytego w okresie wstępnych bojów. Doświadczenia przede wszystkim negatywnego — jakiejś pomyłki i jakiejś przegranej. Czy tylko formy, w jakich próbowaliśmy zamknąć wybrany ideał kulturowy, nie wytrzymują ciśnienia faktów, czy też trzeba podjąć mniej lub bardziej gruntowną rewizję jego założeń podstawowych — wśród uczestników sporu nie ma oczywiście jednomyślności co do tych i innych jeszcze spraw objętych wielkim znakiem zapytania. Granice negacji są różne.

Felieton Jakubika jest głosem niezaangażowanego. A raczej głosem intelektualisty, który swego zaangażowania w aktualne sprawy naszej kultury dotychczas nie ujawnił, a na podstawie dotychczasowej praktyki kulturalnej socjalizmu zwątpił czy też nie zdążył nabrać zaufania do jej podstaw i celów. Reprezentuje skrajną postać negacji: pomyłką był program, cały plan wielkiej batalii; przegrały wartości, na jakich się opierał i jakie chciał realizować. Autor nie poprzestaje zresztą na samej opozycji; myśląc zapewne o możliwości zastąpienia wartości skompromitowanych nowymi, przemyca propozycje własne.

Bo pozornie chodzi tu tylko o Lichniaka i najmłodszą krytykę. Jest to jednak rzecz pisana z wyraźnym podtekstem i oba te kompleksy problemowe pełnią rolę *pars pro toto*, podporządkowane ukrytej racji nadrzędnej — przez dobór przykładów i sieć aluzji mają zademonstrować swoiste widzenie procesu przeobrażania kultury przez rewolucję. Widzenie wyrosłe z niezgody na taki jego przebieg i sprzeciwu wobec jego założeń.

„Spór o biografię" to manifest i usprawiedliwienie klerka. Oczywiście nie próbuję ustalić, w jakim stopniu Jakubik bliski jest ortodoksyjnemu klerkizmowi Bendy czy Irzykowskiego. Chodzi tu o obiegowe znaczenie terminu. Jest to więc manifest pragnień raczej niż postawy zupełnej wewnętrznej niezależności człowieka od jakichkolwiek nakazów z zewnątrz i nieangażowania się w przemijalne sprawy tego świata. Jej moralnym uzasadnieniem jest klerkowska mitologia, w której talent jest bóstwem naczelnym. Stanowi on o wartości człowieka i podstawowym obowiązkiem jest pielęgnować go i chronić. Nie można talentu narażać przez pospieszne angażowanie go w sprawy niepewne, zmienne. Talent potrzebuje stałych gwarancji. Wszelkie domaganie się oddania go w służbę jakiejś ideologii jest zamachem na swobodę, niezbędny atrybut rozwoju. Klerk odpowiada tylko za siebie i tylko przed sobą: kwestia społecznej użyteczności czy bezużyteczności talentu nie podlega ocenie moralnej.

Ale dzisiaj nie ma dla intelektualisty innej legitymacji niż działanie. Żeby usprawiedliwić długotrwałą bierność, trzeba pokazać, że rewolucja — przynajmniej w tej fazie, jaką mamy za sobą — jest ciężarem ponad siły, że żąda ceny wyższej, niż można zapłacić, i zamyka możliwości rozwoju. Że właśnie dlatego tych ludzi w czas największej potrzeby nie było.

Wiemy — co najmniej od czasu polemiki Irzykowskiego z Boyem — że klerkowi nie są obce przyziemne uczucia i namiętności. „Spór" powstał również z czysto osobistych pobudek — z potrzeby kompensaty i asekuracji — choć autor stara się uzasadnić swe wystąpienie wzniosłą bezinteresownością. Sam felietonista, być może, tego nie dostrzega. Jest zbyt p r z y z w y c z a j o n y do siebie.

Na spotkanie ze współczesną problematyką kulturalną wyszedł Jakubik zaopatrzony w dwa niemałej wagi probierze: talentu i intelektualnej rangi, a także w przeświadczenie, że są to sprawdziany bezwzględne, od których nie ma odwołania do żadnych nadrzędnych czy pomocniczych instancji. Odkrywając przerażający bezsens aktualnej sytuacji — talenty się marnują (casus Lichniak), beztalencie otoczone jest cieplarnianą opieką (casus najmłodsza krytyka katolicka); powszechnie panuje beznadziejna jałowość intelektualna (czego mają dowodzić oba te przykłady) — na jej przyczynę sprawczą wskazuje pośrednio i czytelnikowi pozostawia sformułowanie ostatecznego wyroku, potępiającego ślepe, niszczące samodzielną myśl i inicjatywę jednostki działanie mechanizmu. Pokazuje ponadto — również pośrednio — oczywistość wyboru między systemem tworzenia kultury tak zorganizowanym, że staje się królestwem przypadkowości, a idealnym ładem naturalnym, w którym jednostka jako własny prawodawca i sędzia miałaby pełną gwarancję rozwoju.

Ranga intelektualna i talent. To bardzo poważne probierze i nie śmiałbym ich nie docenić. Ale kulturę tworzą różne, nawzajem od siebie zależne szeregi wartości. Każdy rzetelny zamysł poznawczy musi jej złożoność uwzględniać. Postawa obserwatora, który nie może przystać na ideowe wartościowanie socjalizmu, wyklucza możliwość wpływania na dalszy rozwój rewolucji kulturalnej. Bo żeby wpływać trzeba rozumieć mechanikę jej przemian i kontrowersji, trzeba widzieć nieodwracalność jej podstawowych procesów.

8

PRAWO do sądzenia staje się u nas coraz bardziej powszechne. Odzywają się ludzie skazani dawniej — przez siebie samych lub przez błędy naszej polityki kulturalnej — na milczenie. Krzyżują się diagnozy, propozycje, przewidywania. „Głosy z boku" zakłócając ustalony porządek naszego życia umysłowego wnoszą do dyskusji nowe treści i siłą rzeczy poszerzają jej zakres. Odkąd nauczyliśmy się nie lekceważyć tego rodzaju wystąpień, spór o kulturę stał się na powrót sporem *par excellence* ideologicznym, sporem o racje centralne, w którym uczestniczą stanowiska zasadniczo przeciwne.

Nie wszystkie głosy generalnego sprzeciwu są objawem politycznej wrogości. Przemilczanie ich okazało się bronią nieskuteczną, utwierdzającą ludzi, których można pozyskać, w przekonaniach fałszywych. Trzeba je ujawniać i podejmować polemikę nie tylko dla ożywienia dyskusyjnego, ale żeby pozbawić je pewnego autorytetu społecznego, jaki jeszcze — dzięki ponętnym a mglistym hasłom — tu i ówdzie posiadają. Trzeba dostrzec tu szansę ideowej ekspansji.

Początkowa fala dyskusji o kulturze objęła i wyniosła na czoło tych, którzy mieli niechętny stosunek do tego, co działo się u nas w ostatnich latach. Oni najlepiej umieli krytykować. Ale dziś łamanie rąk nad ubóstwem naszej twórczości jest już anachronizmem. Dyskusja idzie dalej pozostawiając outsiderów i wiecznie spóźniających się coraz bardziej w tyle.

List do Redakcji

PRZECIW NIEUCZCIWYM METODOM DYSKUSJI

W ODPOWIEDZI na mój artykuł pt. „O niełatwych problemach moralności socjalistycznej" (wydrukowany w „Po Prostu" z dn. 1.I.56 pod zmienionym tytułem i z szeregiem nieuzgodnionych ze mną opuszczeń) redakcja „Dziś i Jutro" zamieściła list pt. „Przeciw uproszczeniom" (nr 5 z dn. 5.II.56).

Z przykrością stwierdziłem, że list ten zawiera zdumiewające zniekształcenia treści mego artykułu, które można wytłumaczyć chyba tylko zacietrzewieniem autora listu. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć przynajmniej niektóre przykłady metody zastosowanej przez mego oponenta:

„Autor — pisze mój krytyk — utożsamia moralność katolicką z moralnością burżuazyjną, wyznającą zasady: „człowiek człowiekowi wilkiem" i „upadającego kopnij". Takie identyfikowanie... może dowodzić... nieznajomości potępianej katolickiej doktryny..."

Po przeczytaniu tego ustępu czytelnik mógłby słusznie nabrać nader niepochlebnego zdania o moim zdrowym rozsądku. Nie tylko dlatego, że identyfikowanie moralności katolickiej z moralnością burżuazyjną jest czymś nieodpowiedzialnym, ale również dlatego, że przypisywanie burżuazji tego rodzaju poglądów moralnych razi wiecowym prymitywizmem. Na szczęście jednak cały ten ustęp jest wyłącznie pomysłem mego oponenta. Pomysł przypisania mi tego bzdurnego stanowiska mógł się wziąć jedynie z naiwnych broszur, o których pisałem w artykule.

„Nie sądzę, żeby taką lekturą wyrządzało się najlepszą przysługę wspólnej sprawie. Młodzi ludzie, szczególnie wrażliwi na wszelki fałsz i wszelkie słowo bez pokrycia, przeczytają, że burżuazja głosi normę „upadającego kopnij" — i nie uwierzą. Przeczytają lakiernicze charakterystyki ludzi radzieckich i dostrzegą w nich pół-prawdy".

Autor listu gromi mnie dalej za to, że w artykule swoim poruszyłem — „...jedynie zagadnienie stosunku jednostki do państwa. A przecież to tylko jedna strona życia, która nie może wyczerpywać całego problemu".

Treść zarzutu dowodzi, że jego autor nie zadał sobie trudu uważnego przeczytania krytykowanego tekstu. Przypisywane mi stanowisko jest tym bardziej zabawne, że właśnie o stosunku jednostki do państwa (przynajmniej expressis verbis) nic w ogóle nie napisałem. Poświęciłem natomiast cały obszerny ustęp omówieniu rozbieżności poglądów z zakresu tzw. etyki osobistej.

„Mam tu na myśli — pisałem w artykule — normy dotyczące stosunków z ludźmi, z którymi się bezpośrednio stykamy".

Idźmy dalej w śledzeniu tej osobliwej metody dyskusji. Autor listu pisze, że:

„Zarówno w przykładach, jak i w sformułowaniach autora zjawiskiem rzucającym się najbardziej w oczy jest egoizm, to znaczy w tym wypadku dążenie do takiego układu stosunków, w którym „dobro" osobiste osiągnęłoby największe gwarancje...

Ale gdzie — woła demagogicznie — w rozważaniach p. Malewskiego znajdzie się miejsce na miłość, pojętą w sensie przekładania dobra osoby kochanej nad swoje własne?"

Znów, jak i poprzednio, pragnę przypomnieć banalną, zdawałoby się, wskazówkę, że przed zabraniem się do krytyki należy uważnie czytać krytykowany tekst. Gdyby autor przestrzegał tej zasady, to znalazłby np. taki między innymi fragment:

„...I oto dochodzimy do sprawy najważniejszej w zakresie osobistych kontaktów z ludźmi. Zamiast bezwarunkowo i ogólnie sformułowanych zakazów i potępień, chcemy oceny (postępowania) z punktu widzenia następstw dla innych ludzi".

W ujęciu mego krytyka, występującego w roli moralisty katolickiego, powyżej przytoczony pogląd nazywa się, jak widać, egoizmem.

Żeby nie nużyć czytelnika, spośród wielu pozostałych przytoczę jeszcze jeden przykład.

„Moralność postulowana przez autora — pisze mój pomysłowy krytyk — jest w artykule rozpatrywana w kategoriach wyłącznie klasowych i z punktu widzenia jej związków z celami społeczno-politycznymi..."

Tymczasem w artykule mym pisałem:

„...popularne ujęcia etyki socjalistycznej sprowadzały często całą problematykę moralną do walki o lepszy ustrój, albo do służenia interesom klasowym proletariatu, a zagadnień związanych z osobistymi kontaktami z ludźmi w ogóle nie dostrzegały. Chciałbym uniknąć takiego niebezpiecznego przeoczenia. Nie o to przecież chodzi, żeby dla rewolucjonisty walczącego o lepszy ustrój miała być bez znaczenia sprawa stosunku do własnych kolegów, albo do własnych koleżanek, albo do własnej rodziny, albo do załatwianego właśnie interesanta czy pacjenta, albo do wziętego do niewoli żołnierza nieprzyjacielskiej armii — choćby nawet niełatwo było odgadnąć, jaki to stosunek odpowiada interesom klasowym proletariatu".

Ostatnia część cytowanego fragmentu, podobnie zresztą jak i cały szereg innych, została opuszczona przez redakcję „Po Prostu" bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. Ale nawet po tym opuszczeniu sprawa jest chyba najzupełniej oczywista.

Myślę, że przytoczone tu przykłady przypisywania mi wymyślonych przez siebie nonsensów, przykłady, których ilość mógłbym o wiele bardziej pomnożyć, wystarczająco charakteryzują metodę, którą zastosował mój zacietrzewiony oponent. Tego rodzaju nieuczciwe postępowanie jest w skali społecznej zjawiskiem zbyt groźnym, aby je móc tolerować bezkarnie. Jeżeli będziemy tolerować zamienianie twierdzeń krytykowanego autora w wymyślone przez krytyka bzdury, to nie przeprowadzimy żadnej rzeczowej dyskusji i nie pomożemy ludziom dobrej woli w uświadomieniu sobie, gdzie zachodzą wspólne dążenia, a gdzie występują rzeczywiste rozbieżności.

Prymitywizm i nieuczciwość wydrukowanego listu uniemożliwiają merytoryczną dyskusję. Wobec tego jednak, że zamieszczenie w „Dziś i Jutro" tego listu wprowadza w błąd czytelników co do treści mego artykułu pozwalam sobie w formie sprostowania wyjaśnić pokrótce, co rzeczywiście w nim twierdziłem.

W artykule „O niełatwych problemach moralności socjalistycznej" zajmowałem się trzema zagadnieniami:

Po pierwsze, sprawą charakterystyki wydanych u nas w ostatnich latach broszur usiłujących przedstawić marksistowskie poglądy na moralność; po drugie, próbą wskazania, czego rzeczywiście dotyczą rozbieżności między moralnością taką, jaką się rozpowszechniało w Polsce w masowych wydawnictwach religijnych; i po trzecie, wskazaniem szeregu trudnych zagadnień zarówno teoretycznych, jak i praktycznych, które — jak sądzę — zasługują na dyskusję.

W związku z pierwszym zagadnieniem wskazywałem, że drukowane u nas broszury, usiłujące przedstawić marksistowskie poglądy na moralność zawierają mnóstwo twierdzeń w zasadzie słusznych, ale ogólnikowych i wskutek tego niewiele mówiących, bądź jaskrawo uproszczonych i w związku z tym wręcz fałszywych. Zwracałem uwagę na ubóstwo występujących w tych broszurach problemów, wskazywałem wreszcie na szkodliwość takiej literatury.

W związku z drugim zagadnieniem (zagadnieniem różnic między moralnością socjalistyczną a moralnością katolicką, w tej interpretacji, w jakiej rozpowszechniało się ją u nas w masowych wydawnictwach religijnych) wskazywałem na trzy rodzaje różnic:

Po pierwsze, pisałem, moralność socjalistyczna jest moralnością świecką, w przeciwstawieniu do moralności katolickiej, która ma charakter religijny; to zaś pociąga konsekwencje dotyczące zarówno motywów uznawania względnie sposobu uzasadnienia norm moralnych, jak i zakresu norm, które chciałoby się uznawać za należące do dziedziny moralności. Z punktu widzenia moralności socjalistycznej przestają być w ogóle sprawami moralnymi takie sprawy, jak modlitwa, sposób spędzania niedziel, chodzenie do kościoła, czy też post.

Po drugie, zwracałem uwagę na przeciwstawienie, które skrótowo można oddać hasłem — postawa dobrego człowieka, uczynnego i życzliwego dla otoczenia, czy postawa rewolucjonisty, dążącego do usuwania wszelkich przywilejów prawnych i faktycznych i mającego poczucie odpowiedzialności za losy szerszych zbiorowości. Zdawałem sobie oczywiście sprawę i podkreślałem to wyraźnie, że ta druga postawa jest całkowicie zgodna z hasłem miłości bliźniego, że co więcej jest najbardziej konsekwentną i najgłębszą interpretacją tego hasła i że w związku z tym wskazana tu rozbieżność może być przezwyciężona. Jednakże jakkolwiek hasło miłości bliźniego może być interpretowane w wyżej wskazany sposób, trudno chyba zaprzeczyć, że najczęściej spotykana wśród rzesz polskich katolików jest interpretacją w duchu „dobrego człowieka". Człowieka interesującego się wyłącznie sprawami swego najbliższego otoczenia nie uważa się za zasługującego na moralną dezaprobatę.

Po trzecie wreszcie, omawiając rozbieżności w zakresie tzw. etyki osobistej wskazywałem, że moralność socjalistyczna odrzuca cały szereg bezwarunkowych zakazów, które wydają się jej nieracjonalne, wysuwając na to miejsce postulat oceny postępowania z punktu widzenia jego następstw dla innych ludzi.

Po tej próbie rozpoczęcia dyskusji nad tym, czego rzeczywiście dotyczą rozbieżności, wysunąłem szereg problemów, które — jak sądzę — zasługują na omówienie wśród wszystkich tych, którym zależy na realizacji bardziej sprawiedliwego układu stosunków i to zupełnie niezależnie od tego, jaka jest ich postawa wobec religii. Wskazywałem np. potrzebę dyskusji nad treścią takich haseł, jak hasło walki z krzywdą, niesprawiedliwością społeczną czy wyzyskiem, nad różnego rodzaju konfliktami zachodzącymi między obowiązkami wobec najbliższego otoczenia, a obowiązkami względem szerszej zbiorowości itd.

Wydaje mi się, że to ogólne streszczenie jest potrzebne dla usunięcia nieporozumień i to tym bardziej, że nie tylko autor omawianego tutaj listu, ale również i Jan Lipiński, w spokojnym i rzeczowym artykule, zamieszczonym w „Tygodniku Powszechnym" (jaskrawo odbiegającym od polemiki drukowanej w „Dziś i Jutro") nie zwrócił uwagi na podstawowe tezy artykułu. Chodziło w nim przede wszystkim nie o stawianie zarzutów, lecz o próbę scharakteryzowania niektórych cech moralności socjalistycznej i rozpoczęcia dyskusji nad wydobyciem rzeczywistych rozbieżności.

Andrzej Malewski
Poznań

W związku z zamieszczonymi powyżej uwagami p. Andrzeja Malewskiego, autora artykułu z „Po Prostu", wyjaśniamy, że Redakcja nie bierze pełnej odpowiedzialności za publikowane listy. A na prawach listu została zamieszczona polemika pt. „Przeciw uproszczeniom". Pragnęlibyśmy przy okazji zwrócić uwagę Czytelników na artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego pt. „Dyskusyjne drogi i rozdroża" („Dziś i Jutro" nr 6 (532), podejmujący m. in. polemikę ze sformułowaniami zawartymi w artykule p. Malewskiego w „Po Prostu".

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Dziś i Jutro", wskutek przeoczenia opuszczono w artykule Konstantego Łubieńskiego „Życie religijne i katolicyzm w Stanach Zjednoczonych" fragment zdania. Wydrukowano: „Episkopat składa się z czterech kardynałów (trzech pochodzenia irlandzkiego, jeden niemieckiego). 45 tysięcy księży świeckich, 180 tysięcy osób w zakonach, w tym 154 tysiące sióstr" — podczas gdy prawidłowo zdanie to powinno brzmieć: „Episkopat składa się z czterech kardynałów (trzech pochodzenia irlandzkiego, jeden niemieckiego), 26 arcybiskupów i 166 biskupów. Księży świeckich jest 45 tysięcy, 180 tysięcy osób w zakonach, w tym 154 tysiące sióstr".

MOJA BABKA

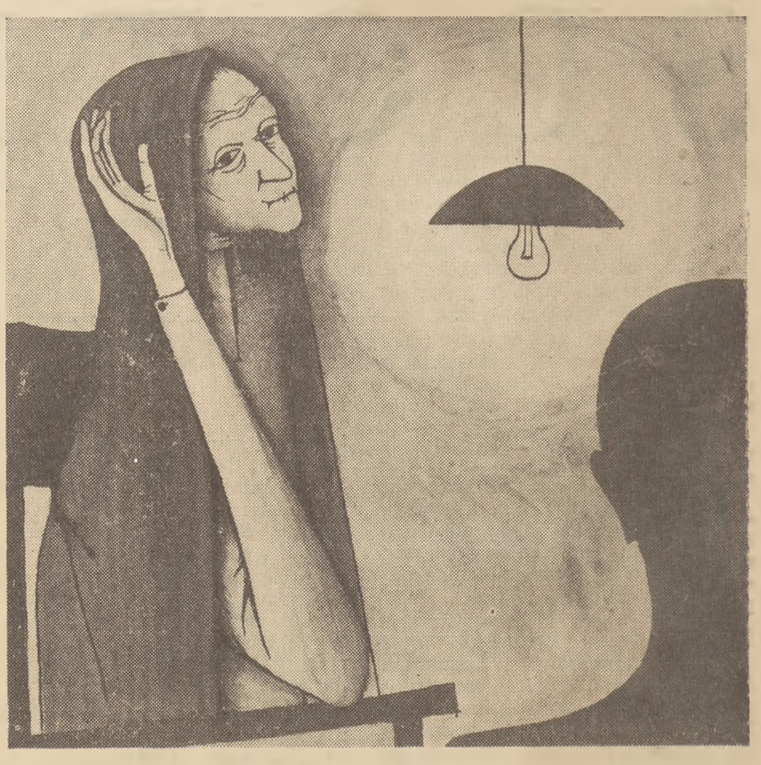

Rys. Edward Krasiński

ELŻBIETA DRZEWIŃSKA

I. ŻYCIE

MOJA babka ma 86 lat, ale cieszy się dobrym zdrowiem i posiada jeszcze wiele energii i siły. Sąsiedzi widząc ją mówią zawsze: oby nam Bóg pozwolił doczekać tak późnej starości. Nie wiem, czy taka późna starość, nawet gdy się jest w pełni sił, jest rzeczywiście błogosławieństwem. No, ale że śmierć też specjalnym błogosławieństwem nie jest, więc lepiej już chyba z dwojga złego żyć jak najdłużej. Każdej wiosny babka powtarza, że to już ostatnia, jaką jej dano oglądać, niemniej jednak bierze się żwawo do roboty w swoim dużym ogrodzie. Gdy przychodzę w odwiedziny w maju lub czerwcu — ogród jest już pełen wysokich kwiatów i gęstych krzewów, które rosną tu dziwnie bujnie, jak na grobie; wszystko to zrobiła własnymi rękami, które mają już przynajmniej osiemdziesiąt lat pracy.

Życie mojej babki było ciężkie; najpierw praca na gospodarstwie u bezwzględnego i surowego ojca, potem wczesne zamążpójście. Dziadek był jeszcze za carskiej Rosji działaczem robotniczym i większość życia spędził na zesłaniach i w więzieniach. A babka zostawała z pięciorgiem małych dzieci. Pisze się wiele o rewolucjonistach z minionej epoki, o ich walce i cierpieniach, ale mało wspomina się o ich żonach, prostych i zapracowanych kobietach, które w rezultacie zostawały same z gromadką dzieci, rozgoryczone i niewiele rozumiejące z wielkich spraw świata, prócz tego, że muszą dać jeść.

Jednak pamięć męża otacza babka szacunkiem i miłością — być może, iż czas zatarł dawne urazy, albo też była do niego naprawdę przywiązana. A przecież na początku nie było tak różowo. Siedemnastoletnią dziewczynę wydano, nie pytając się oczywiście o zgodę, za młodszego od niej o rok chłopca. Jak głosi rodzinna legenda, na drugi dzień po ślubie przybiegła z płaczem do domu rodziców, gdzie ojciec dał jej tęgie lanie i powiedział: wracaj do męża i słuchaj się go.

Nie, nie najadła się modnych wówczas łebków od zapałek, ani nie wypiła esencji octowej; przeciwnie, była ze swoim mężem szczęśliwa.

— Gdyby teraz tak ojcowie robili, nie byłoby tylu rozwodów — podsumowuje dosyć nieoczekiwanie babka.

II. ZDROWIE

A jak zdrowie?

O, to długi i interesujący temat, można by powiedzieć — dezer całej rozmowy. Babka rozwlekle i z widoczną satysfakcją opowiada o wszystkich strzykaniach i zawrotach głowy, jakie ją nawiedziły ostatniego czasu.

— Trzeba się leczyć — rzucam niepewnie.

— Leczy się, leczy, a jakże. Tylko że to teraz tacy doktorzy. Nie posłuchają nawet dokładnie, co jest — aby prędzej.

Na małym, rozdygotanym stoliku pod zegarem błyszczy rząd brązowych butelek i piętrzą się kolorowe pudełeczka. Jednak ci lekarze są dosyć hojni i dosyć delikatni, że nie powiedzą, iż na starość nie ma lekarstwa. Ale to i tak by nie pomogło, babka poszłaby do drugiego lekarza. Potrzeba leczenia leży w jej instynkcie samozachowawczym, który każe bronić się przed śmiercią.

Czasem jednak obawiam się, czy ona nie nastąpi prędzej właśnie przez ten rząd brązowych butelek. Ta ilość leków zdolna jest przecież zbić z nóg słonia. Może i lepiej by było, gdyby ci lekarze byli mniej hojni i uprzejmi.

III. DZIECI

DZIECI babki to wykształceni, kulturalni ludzie, których drogi rozeszły się z jej drogami dwadzieścia albo i trzydzieści lat temu. Babka jest prostą kobietą, ukończyła zaledwie kilka klas szkoły powszechnej. Nigdy nie uczyła się matematyki, ale nie zdarzyło się, aby ją kiedy oszukali na targu lub w sklepie; posiada tak zwany zdrowy rozsądek i spryt, który starczy na załatwianie domowych sprawunków — lecz na dalszą metę zawodzi fatalnie.

Codziennie czyta gazetę, ale niewiele z tego rozumie, i wtedy udaje się o pomoc do któregoś ze swoich uczonych dzieci.

— Jak to jest z tymi Niemcami — przed wojną były przecież jedne, teraz są dwa? — Patrzy z natężeniem na usta zagadniętego starając się jak głuchoniemy odgadywać słowa po ruchach warg, bo wie jak denerwuje rozmówcę powtarzanie tego samego. Czeka długo na odpowiedź, aż wreszcie domyśla się, że pytanie zostało niezauważone. Wtedy ponawia je.

— Co? — odpowiada nieprzytomnie to najstarsze i najbardziej wykształcone dziecko. — Ach tak, było jedno państwo, a teraz są dwa, nie będę tłumaczył, bo i tak mama tego nie zrozumie. Niech mama lepiej zostawi gazetę i napali w piecu, bo zimno jak w psiarni.

Babka kładzie gazetę na stole i idzie palić, jakby dowiedziała się wszystkiego. Tak, dowiedziała się naprawdę. Może nie tego, dlaczego są teraz dwa państwa niemieckie, ale tego, jaka ona ciemna, a jak mądre i wykształcone są jej dzieci. I zamiast goryczy twarz jej jaśnieje macierzyńską dumą.

— Za godzinę będziesz miał ciepło — mówi przymilnie — to bardzo dobry węgiel, kupiłeś go zeszłej zimy.

IV. ROZMOWA

BABKA jest trochę głuchawa, tak że trzeba do niej mówić podniesionym głosem. To jest dosyć męczące, nic więc dziwnego, że rzadko znajduje chętnych do rozmowy. Sąsiedzi zwykle po wymienieniu kilku zdawkowych słów znikają, tak, że babka często nie ma komu powierzyć bezcennej nowiny o świeżo zeszłej fasoli albo o chmurach wokół księżyca na nowiu.

Na skutek swojej głuchoty z reguły nie bierze udziału w rozmowie, jaka się odbywa codziennie przy stole, gdy wszyscy mówią normalnym głosem. Czasami jednak bierze się na podstęp: gdy widzi po minach, że mowa o czymś wesołym — patrzy uważnie i doczekawszy cierpliwie pointy śmieje się głośno razem ze wszystkimi. Ma przez moment złudzenie, że bierze sama udział w rozmowie i wie doskonale o co chodzi, a różnica między nią a pozostałymi ludźmi nie istnieje.

Ale już za chwilę temat zmienia się. Twarze wszystkich poważnieją, wyrażają oburzenie lub nawet gniew. Babka słucha i patrzy, ale nie może uchwycić sensu nowej rozmowy. Słowa przelatują nad jej głową jak piłki, których nie może pochwycić. Widzi, kiedy zostają rzucone, i po reakcji twarzy słuchaczy, kiedy je odebrano. Widzi, jakie robią wrażenie. Ale ich nie zna. Krąg ludzi zdrowych i wesołych zamknął się znowu, a ona znalazła się po jego zewnętrznej stronie.

Przejdzie jakiś czas i wszyscy zapomną o tej rozmowie, ale babka nie dowie się nigdy, dlaczego wtedy śmiano się i dlaczego ona śmiała się z wszystkimi.

OKRĄŻENIE

dziady do spółdzielni ciągną, ale co tam z dziadami za praca. — Nie wiem, czy Stanisław S. ma półtora morgi na własność. Księżyc świecił słabo; nie mógł dojrzeć mojej twarzy, zaniepokoiło go moje milczenie.

A teraz w związku z tą samą sprawą dworu pewien mały ale znamienny epizod. Taka anegdotka — o jednej starej kobiecie. Siedziałem za stołem przy kolacji i dowiedziałem się od mojej gospodyni, że dzieci śpią, a siostra jej, Balbina, poszła do kina.

Balbina — to szczególny typ kobiety, która służąc czterdzieści lat we dworze za pokojówkę, dorobiła się zamaszystego kufra z okuciami i paru wyrzuconych z salonu bawidełek. A teraz u siostry na łaskawym chlebie pasie krowy, mamrocze cały dzień sama do siebie i z zamiłowaniem oddaje się dewocji.

Gdy do wsi zajeżdża objazdowe kino (a dzieje się to co drugą niedzielę), Balbina układa sobie porządek dnia w następujący sposób. — Idzie do kościoła na „dziewiątówkę", zostaje na sumie, a ponieważ i tak się już nie opłaci wracać, zostaje także na nieszporach. Złośliwi twierdzą, że teraz, kiedy ksiądz dziekan wyrychtuje ławki, że już nie będą tak ciasne i gniotące, tylko szerokie i wygodne, jak kolatorskie, to Balbiny nikt nie wyrzuci z kościoła. Balbina po prostu zamieszka w kościele. Tak lubi obserwować tych, co przychodzą, modlących się i lubi na wpół głośno szeptać pacierze.

Na razie jednak ławki są wąskie: Balbina po powrocie z nieszporów zabiera najstarszego siostrzanego wnuka, aby powędrować z nim do kina. Wraca gdzieś koło północka zmęczona obserwowaniem porwanych obrazów dwóch piekielnie wyświetlanych filmów, drzemiąc podczas licznych przerw, spowodowanych psuciem się aparatury.

Zapytana, co było w kinie — odpowiada lekceważąco. Ot, takie głupoty. Do kina jednak chodzi.

Dawniej „dwór" był ośrodkiem najwyższej cywilizacji. (Wyższą cywilizację, wprost bajkową posiadała „Ameryka"). Dziś „dwór" i ten jego autorytet zaliczają się do wspomnień. Odkąd są radia i elektryczne światło. Elektryczne światło było kosztowne, ludzie godzili się na nie z trudem. Wywracało ono pół życia do góry nogami. 3—4 tysiące złotych kosztowała instalacja na „numer". Ale teraz...

— Teraz, panie — mówi mi jeden z małorolnych (innych we wsi w ogóle nie ma) — i za siedem tysięcy bym tego nie oddał. Jeden to tak się zainteresował, że mu nie starczyło światło w domu, w stajni i podwórzu, ale jeszcze w sadzie na drzewach chciał sobie przywieszać żarówki, żeby mu widno było wieczorem wyjść na ogród.

Elektryka natchnęła ludzi ufnością. Od tego czasu, rzadziej się zastanawiają, czy „państwo" wróci. Za to powiększyła się liczba radioodbiorników i częściej słuchają „Wolnej Europy". Z tego słuchania rosną myśli o „pokojowej zmianie stosunków". Każda wiadomość polityczna rosła tu zawsze w fantastyczną plotkę, cóż dopiero wiadomość z zachodniego radia. Tego radia słuchają z nabożeństwem właśnie małorolni chłopi ze wsi X, w przygniatającej większości wrodzy spółdzielni produkcyjnej. O tej spółdzielni za chwilę.

Jestem w izbie. Mży światło z żarówki tak świeżej jeszcze, że jej muchy nie zdążyły zapaskudzić. Na ławie siedzi trzech gospodarzy. Mam przed sobą Jontka Szewczyka, nazywa się zupełnie inaczej, ale dziadek łatał buty, więc wnuka przezywają Szewczykiem, choć ma już dobrze po czterdziestce, ma 1 ha, sześcioro dzieci. Do frontu był fornalem, bo mu nie starczała gospodarka. (Jego żona też za młodu sługiwała). Teraz co sezon jeździ do huty w Gliwicach i tam dorabia, bo gospodarka i dziś nie starcza. Postawił się: ładniej, wygodniej, najstarszy syn na Zachodzie, młodszy na Zachodzie. Czworo mniejszych w domu.

Mam przed sobą Karbowego, tak go dziś nazywają. Był karbowym na dworze. Dozorował prac w polu. Ale w tym stuhektarowym gospodarstwie nie była to wielka wiedza. Dawniej miał karbowy za zadanie karbować na kiju snopki i kosze ziemniaków. Ten karbowy był rekwizytem pofeudalnym i jego obowiązki nie różniły się wiele od obowiązków zwykłego fornala. Miał nad sobą rządcę i dziedzica. Młodemu dziedzicowi starsza pani patrzała na palce, młody dziedzic rządcy, a ten stary pijaczyna i złodziej fornalskich zarobków szykanował karbowego widząc w nim potencjalnego konkurenta. Tak więc karbowy stawał w zatargach fornale - rządca oczywiście po stronie fornali. Raz nawet przesiedział się parę miesięcy, bo rządca go oskarżył o zamiary buntownicze. Poza tym był to pies na kobiety. I rozsiewał najduchy po całej okolicy. Siedział teraz z obwisłymi policzkami w za krótkiej odświętnej marynarce z Ameryki i powoli, bardzo rozmyślnie ślinił koniec papierosa. Trzeci z obecnych, to przyszły zięć Jontka Szewczyka, młody robotnik z państwowego młyna, Władek.

Jontek Szewczyk zabrał głos pierwszy: Długo już tak nie będzie, nie może być, zmieni się. Ameryka w Genewie nie pozwoli. (Właśnie rozpoczynała swe obrady konferencja czterech ministrów.) Bo pan nie wie, co tu się robi.

— No, światło macie, spółdzielnię założyliście.

— A założyły Jancychrysty — odzywa się mrukliwie polowy. — A wiecie, kto w tej spółdzielni: czterech zostało.. Jeden taki Jontuś, co to brzuchem do góry leżał i baba mu d... omiatała. Stara Resionka, co nic już nie poradzi zrobić, a nikogo w chałupie do roboty nie ma. Więc wstąpiła, żeby jakoś wyżyć i jeszcze dwóch łapserdaków. Żaden gospodarz się nie zapisał. Nawet partyjni się wymawiają. Było paru do ustawowej liczby, ale się wypisali, przecież nikt nie głupi wyrok na siebie i dzieci podpisywać.

— No, jak wystąpili, to i nic nie będzie, ale jakby się zapisali, to może by i było.

— A gdzie by tam było, panie. Swój do swojego ciągnie, przy swojem będzie robił i swojego za nic nie odda.

Gdzieś już słyszałem podobne sformułowanie. Przypominam sobie ciemną noc, ognik papierosa i zduszony szept Stanisława S., żeby nikt nie posłyszał.

— Iii, kto by tam swoje dał — podchwytuje Jontek Szewczyk — i na co. A kto taki głupi w naszych stronach, żeby do spółdzielni iść. Najbliższa w Borku, piętnaście kilometrów. A zobaczcie, jaka to spółdzielnia. A u nas to gdzie krowy postawią, na mokrowcu? (to taka łąka podworska kwaśna i podmokła — przypisek J. Ł.). Przecież nawet stajni nie mają. Pola już nie obsiali, długów narobili.

Spółdzielnia wisi widmem nad wsią. Ta, która jest, nie ma w tej chwili szans rozwoju. Dniówki obrachunkowe zjedzą inwestycje, jeżeli w ogóle te dniówki będą jakoś wyglądały. Do spółdzielni zebrali się ludzie nie cieszący się żadnym autorytetem gospodarczym.

Toteż nie dziwi, że nawet kandydant na Jontkowego zięcia — Władek, chłopak małomówny choć przetarty w świecie kiwa z aprobatą głową. Żarówka się świeci trochę słabiej, okres szczytowego nasilenia. Przecież gospodarz Szewczyk, to właśnie ten, co się tak nacieszył światłem, że chciał żarówki przewieszać w sadzie. Przecież staraniem Karbowego wybudowano dom ludowy.

Przez otwarte drzwi widać ludzkie sylwetki na drodze. Ta, co to się toczy po błocie, to pewnie Balbina z kina wraca. Tak. Reforma była w 45, dziesięć lat temu. Ale „dwór" ze wszystkim nie zginął. Zginie dopiero wtedy, kiedy się zamknie okrążenie z wszystkich stron. Tu się czuje autentyczny patos współczesności.

III

DWÓCH synów mojego gospodarza poszło na „Zachód". Jeden zaszedł najpierw do Nowej Huty, potem do Nysy, potem do PGR-u Zawadka. Dziś jest milicjantem w pobliskim Miejscu Piastowym, drugi poszedł niedawno do Oświęcimia i tam chodzi na kursy krawiectwa, szewstwa, ślusarki.

Dobrze będzie się nad tymi dwoma zatrzymać. Reprezentują oni problem historyczny — „Zachód", a od „Zachodu" idzie główne *okrążenie* „dworu".

Mietek, barczysty mocny milicjant, odgarnia włosy, które chwyta obiema rączkami mała jego córeczka — Zosia. Taki najbardziej autentyczny portret Mietka, staje mi przed oczami, gdy o nim pomyślę. Nie widziałem Mietka w „akcji".

Zacznijmy jednak od początku. Był zdolny, ale z trudem ukończył szkołę. We wsi była czteroklasówka, potem był front, poniewierka. Musiał chodzić trzy kilometry w zimie w dziurawych butach i szkołę ukończył. A że naturę miał niespokojną jak ojciec, poszedł do SP. Właśnie rozpoczynano budowę Nowej Huty. Pierwszy trudny okres. Spodobało się mu to SP. Praca była ciężka, ale rygor wojskowy. Na warcie trzymał raz pod karabinem dowódcę, nie znającego hasła. Brał udziału w akcji przeciw kułakom, zbrojnie napadającym budowę. Po skończeniu turnusu, bluzę miał popstrzoną okrągłymi medalami. Namawiali: Mietek, zostań u nas, przydasz się na budowie. Ale w Mietku siedział niespokojny duch, poszedł dalej na zachód. Trafił najprzód do Głucholozkiej fabryki papieru i pracował przy maszynie starego typu. Denerwowało go to. Inni robili, przodowali, zarabiali, a on musiał sterczeć przy tym starym gracie. Rzucił więc stary grat i poszedł do nowoczesnych Kolejowych Zakładów Naprawczych w Nysie. Tam znalazł się w minorowym mieście wśród wypalonych domów z restauracją o kiepskiej reputacji i wśród ziomków ze swoich stron. Zasmakował w dzikim zachodzie, to był prawdziwy „Zachód". Zarabiano dobrze. Były dziewczęta, z którymi się chodziło na zabawy. Na zabawy przychodzili „pgr-y", krewcy chłopcy z nożami za rękawem. Chłopcy spod Krosna też odświeżyli sobie tradycję rodzinnych wesel, na których domowego chowu koziki dzielnie konkurowały z nowoczesnymi sprężynówkami. Kiedy Mietek opowia-

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

TYLKO DLA RODZICÓW

W jakim kierunku mamy wychowywać nasze dzieci? Jakie rady, jakie przestrogi mamy im przekazać na dalsze życie? Kto sobie właściwie nie zadał jeszcze takiego pytania?

Trudny to zakres odpowiedzialności, z którym na codzień spotykają się nie tylko rodzice i wychowawcy. Wszyscy się właściwie bez przerwy wychowujemy, całe nasze życie publiczne jest jedną szkołą wychowawczą. Formy życia bowiem zmieniają się na naszych oczach. Z nimi zmieniają się wymagania, zwiększa się wysiłek twórczy, a ludzie przecież muszą się dopiero uczyć wypełniania swych nowych, dotąd nieznanych obowiązków.

Szkoła naszego życia obywatelskiego jest na pewno trudna. Budujemy życie narodowe na nowych podstawach. Własność społeczna jest odkryciem ostatnich dziesięciu lat i niełatwo wykształcić szeroko pojęte jej poszanowanie. O ile łatwiej na przykład pouczać dziecko, że nie wolno rodzicom wykradać pieniędzy z portfela, niż wytłumaczyć, że jazda „na gapę" jest kradzieżą a nie sportem, a niszczenie ławek szkolnych jest czynem niespołecznym, nie tylko sposobem zabijania czasu na nudniejszych lekcjach.

To samo dotyczy szacunku dla awansu społecznego, poszanowania praworządności, kolektywnego kierownictwa i wielu jeszcze innych nowych pojęć, wprowadzonych w ciągu ostatniego okresu do naszego życia.

Często jednak rodzice upraszczają sobie nieco zadanie, pozostawiając tę trudną dziedzinę trosce szkoły, ewentualnie pedagogicznemu wpływowi prasy i radia, z których to zresztą młodzież wyciąga wnioski, nie zawsze dostatecznie pedagogiczne.

Tymczasem z pomroków zapomnienia wyłania się i uporczywie nam przypomina pewna zasadnicza sprawa, którą dziadkowie jeszcze nazywali pięknym, polskim określeniem „kindersztuba". Kindersztuba to nic innego, jak podstawowe elementy wychowania, otrzymane w domu i stanowiące podkład, na którym dopiero rozwijać się mogą dalsze wpływy szkoły i życia społecznego.

To podstawowe wychowanie stało się dziś jednym z najtrudniejszych zagadnień życia rodzinnego i mówiąc otwarcie — na ogół zawodzi. Dalsza praca wychowawcza, pozbawiona tych fundamentów, staje się niesłychanie trudna, czasem wręcz nieskuteczna.

Trudnością podstawową nie jest tu, jakby się mogło w pierwszej chwili wydawać — brak czasu, zajęcia rodziców. Owszem, to jeden z czynników utrudniających, ale nienajważniejszy. Istotniejsza jest głęboka przemiana samej istoty stosunków między rodzicami a dziećmi. Znikło gdzieś dawniej zakorzenione poczucie hierarchii, a co za nim idzie — poczucie szacunku, może nawet strachu, a na pewno posłuszeństwa dzieci wobec rodziców. Czy dlatego, że dzieci stały się nagle krnąbrniejsze? Wcale nie. Dlatego, że rodzice współcześni widzą w dziecku człowieka, a nie obiekt do wychowania, liczą się z jego godnością, stawiają na jego inteligencję, mniej nakazują, a więcej radzą, upominają, tłumaczą.

No, a dzieci — są dziećmi. Korzystają z danej im swobody, z „liberalnego kursu", by stawiać na swoim. Na swoim — to nie zawsze oznacza na słusznym. Stąd rodzice są mniej lub bardziej kochani, ale coraz rzadziej słuchani i — niestety — rzadziej szanowani. Natomiast dzieci, przy takim podejściu do nich, niewątpliwie rozwijają się szybciej, inteligencja ich staje się żywsza, rośnie samodzielność, a z nią pewność siebie.

Takie są dobre i złe strony tego nowoczesnego stosunku do dziecka. Nie widzę celu krytykowania go. Sam w sobie jest on godny pochwały, bo odbija się w nim humanistyczna tendencja naszej epoki, a do patriarchalnych form życia rodzinnego i tak nie powrócimy.

Uświadomijmy sobie jednak, że jeżeli nie udoskonalimy naszych metod wychowawczych — wyrośnie pokolenie być może inteligentne i zdolne, ale anarchistyczne, samolubne — aspołeczne!

Sygnały alarmowe dostrzegam dziś przede wszystkim od strony naszych młodych intelektualistów, prowadzących od pewnego czasu wielką kampanię w sprawie moralności, a na tym tle w sprawie religii z jednej strony, pożycia małżeńskiego z drugiej.

Bo cóż z tych wszystkich głosów można właściwie wyczytać? Po prostu to, że dożyliśmy nareszcie czasów, gdy można będzie pofolgować instynktom, przekreślić obrzydłe zakazy, żyć tak, jak komu się zechce.

„Jakieś postępowanie jest złe, jeśli zwiększa cierpienia innych, jest dobre, jeśli zwiększa ich radości" — dowodził niedawno właśnie jeden z naszych publicystów. Zdanie samo w sobie bardzo szlachetne, ale także względne i indywidualistyczne w swej treści. A jeśli, jak się to zbyt często zdarza — radość jednych zdobywa się kosztem cierpienia innych? Czyż na przykład problem rozwodowy nie na tym się właśnie nieraz zasadza, że „szczęście" dwojga opłaca nieszczęście osoby trzeciej.

Czyż nie pomyślał autor tej zasady moralnej, że natura ludzka każe tę samą miarę stosować do siebie, co do innych (jeśli nie lepszą jeszcze) więc niezmiernie łatwo zdarzyć się może, że szlachetne w intencji prawidło zostanie odczytane na odwrót — „dobre jest to, co *mnie* sprawia radość, złe to, co *mnie* sprawia cierpienie". A stąd droga do egoizmu już jest najkrótsza. Innymi słowy: dobre jest to, co mnie sprawia radość, złe to, co mi sprawia cierpienie — bo przecież natura ludzka tę miarę nie tylko do innych każe stosować. A jeśli przypadkiem moja radość może się stać przyczyną czyjegoś cierpienia? O jak łatwo sobie wówczas na swoją korzyść sytuację wytłumaczyć!

Nie chodzi mi tu jednak o zbyt efektowne moralizatorstwo. Chciałbym postawić pytanie — czego właściwie dziś potrzebuje od nas społeczeństwo? Zdaje mi się, że odpowiedź jest prosta: potrzebuje, by nasze dzieci były karne, porządne, pracowite. By młodzież była uczciwa, obdarzona rozwiniętym poczuciem obowiązku. By małżeństwo było trwałe, zdolne do wykazania się wzajemnym szacunkiem, zdolne do zapewnienia opieki potomstwu, by życie domowe było pomocą i podporą naszej pracy społecznej i zawodowej, a nie źródłem psychicznych załamań.

Czy to się właściwie da pogodzić z moralnością „rób, co chcesz", która przebija z tylu głosów dotychczasowej dyskusji?

Weźmy sprawę rozwodów. Moralność katolicka stawia sprawę niezwykle twardo. Małżeństwo jest sakramentem nierozwiązalnym. Ilość okoliczności, które czynią małżeństwo nieważnym, to znaczy faktycznie niebyłym, jest tak mała, że nie daje żadnego luzu obyczajowego. Oczywiście można oszukać prawo kościelne, ale po cóż oszukiwać? Jeśli kto jest zdecydowany składać fałszywe przysięgi dla uzyskania unieważnienia ślubu kościelnego, to daje dowód, iż nie jest katolikiem wierzącym i po cóż ma się tak zakłamywać?

Prawo państwowe uznaje rozwody, gdyż wychodzi z przesłanek praktycznych — są takie życiowe problemy, muszą być dla nich właściwe normy prawne.

Ale czy intencją prawodawcy było zachęcanie do korzystania z tych norm? Na pewno nie. Przeciwnie — robiono wszystko w ciągu ubiegłych lat, by stworzyć normalne warunki życia rodzinnego i zapewnić jego trwałość.

Niemniej są rozwody. I mnożą się, specjalnie w środowiskach inteligenckich w sposób niepokojący. Babcie dostają wnuków na wychowanie, kwaterunek ma kłopoty z „rozkwaterowywaniem" nieudanych małżeństw i „skwaterowywaniem" następnych par. Tym kryzysom, które powinny zgodnie z cytowaną maksymą „zwiększać czyjąś radość" (ale nierzadko i zwiększają czyjeś cierpienie!) towarzyszy wzniosłe oświadczenie — „żyć w małżeństwie z przymusu moralnego? cóż za mieszczańskie zakłamanie!"

Więc właściwie, jak mamy synów i córki wychowywać myśląc o ich przyszłym małżeństwie? Nastawiać na wolny wybór partnerów czy wpajać „mieszczański" ideał powagi małżeńskiej decyzji, wartości moralnej wierności, zobowiązań wobec współmałżonka?

Inny znów publicysta wyjaśnia nam swój pogląd o dziewictwie: „tylko głupiec, i to u kresu głupoty, przywiązywać może mistyczną wagę do tego, czy jakaś dziewczyna zaraz odda się pierwszemu z brzega czy też przez cały rok bronić się będzie przed mężczyzną". Więc — dziewictwo jest przesądem, po co wmawiać w młodzież niemoralność stosunków płciowych przedmałżeńskich, cóż to komu szkodzi, że panna zajdzie w ciążę?

Nasi publicyści walczą z zakłamaniem, a zapewne nie z moralnością. Ci jednak, którzy czytają, znajdują w tej publicystyce przede wszystkim efektowne sformułowania, które wieszczą koniec surowej i wymagającej moralności, a nadejście epoki pełnej wolności obyczajowej.

Otóż epoka socjalistyczna zupełnie czegoś innego domaga się od współczesnego człowieka. I zarówno ci, którzy bronią moralności religijnej, jak i ci, którzy głoszą moralność świecką muszą najpierw ustalić pewne wiążące w tej dziedzinie prawdy podstawowe. Te prawdy, które muszą obowiązywać właśnie od chwili, gdy w dziecku zaczyna się wytwarzać świadomość dobrego i złego, świadomość moralna.

Żyjemy w epoce, która wymaga od człowieka poczucia obowiązku, poczucia dyscypliny i poczucia poświęcenia dla innych i dla spraw wyższych ponad egoistycznie rozumiane dobro własne. Musimy się nauczyć wymagać tego od naszego dziecka. Cała pomoc pedagogiczna, dobrze postawione specjalistyczne i popularne czasopisma pedagogiczne powinny być poświęcone pokazaniu młodym rodzicom konieczności jednoczesnego pełnego uszanowania człowieka w dziecku i jednoczesnego dostrzeżenia w nim przyszłego obywatela, członka rodziny, narodu, państwa, którym musi chcieć i umieć służyć.

I życie małżeńskie, życie seksualne bynajmniej nie jest wolne od tych serwitutów. Jest sens w walczeniu z łatwizną moralną, jest sens w podnoszeniu wagi panowania nad własnymi instynktami, panowania nad własnymi uczuciami nawet. Jest głęboki sens w tym, by dziewictwo było cnotą, a nie przedmiotem drwin, byleby tylko to było prawdziwe dziewictwo, a nie zakłamanie, za którym kryje się najpełniejsza zgnilizna moralna. Jest sens w walce o to, by w świadomości młodzieży życie płciowe wiązało się z pojęciem małżeństwa, gdyż podnosi to wartość moralną młodzieży i wartość małżeństwa, a tym samym uświadamia wagę trwałości tego związku.

Pewne spory, pewne polemiki, dotyczące treści i wartości moralności religijnej okażą się w istocie dość donistycznej żądzy użycia. Jeśli zadamy sobie trud zastanowienia się, czego rzeczywiście wymaga od współczesnego człowieka ta epoka, którą dziś zaczynamy budować.

Socjalistyczna rzeczywistość społeczna, wydaje nam się, jest najdalsza od rozbudzania w człowieku hedonistycznej żądzy użycia. Jeśli humanizm naszych czasów obiecuje stałą poprawę losów ludzkich i stałe rozszerzanie się zasięgu jego potrzeb i możliwości, to jednocześnie praktyka przestrzega, że odbywa się to powoli, stopniowo i kosztem ciężkiej, powszechnej pracy. Styl konsumpcyjny nie będzie więc przeważał ani w gospodarce narodowej, ani w zakresie osobistej moralności.

Szkoła, harcerstwo, prasa, radio, literatura muszą tu przyjść rodzicom z pomocą w najszerszym zakresie możliwym. Bezpośrednio przez zwiększenie wysiłku pracy publicystycznej w kierunku praktycznych problemów wychowawczych. Pośrednio zaś przez pociągnięcie żywej imaginacji młodzieży ku ideałom bardziej altruistycznym i bohaterskim.

Tymczasem nasza współczesna tendencja wychowawcza, niemal wyłącznie intelektualna, w jakiejś mierze upośledza w człowieku czynnik woli. Wychowujemy ludzi inteligentnych, lecz wewnętrznie niezorganizowanych.

Przykłady? Pedagogowie mogliby ich zebrać na pewno wiele. Przytoczę parę z mojego bezpośredniego pola obserwacji. Źle jest bardzo z pilnością w nauce i ze związaną z tym systematycznością w pracy.. Uczenie się przedmiotu nieciekawego wzbudza w uczniach na ogół nieprzezwyciężoną niechęć. Jakkolwiek od zdolności nauczyciela bardzo wiele zależy, by podać najtrudniejszy przedmiot w ciekawej formie, to jednak pamiętamy jeszcze wszyscy z czasów szkolnych, że jest w systematycznej nauce szkolnej znacznie więcej z „przysiadania fałdów", czyli tzw. pięknie „sitzfleiszu" niż z intelektualnych zrywów. Rezultat — sypiące się dwójki i trójki, a potem na koniec roku nieprzytomny wyścig z czasem, przemęczenie i sztuczne wyniki, na ogół nietrwałe, bo z kucia po nocach pozostaje tyle, by zdać egzamin i zapomnieć po miesiącu.

Inny przykład — brak zamiłowania do porządku. Nasza młodzież jest niechlujna. Nie szanuje ani swych ubrań, ani swych książek. Można się oczywiście pocieszać, że „to przejdzie z wiekiem". Niestety z wiekiem nabiera się najwyżej umiejętności stwarzania pewnych pozorów dzieciństwa — nie będzie jej na pewno później w życiu.

Takich przykładów mógłbym cytować więcej, ale wolę pozostawić to lepiej przygotowanym specjalistom. Wysunąłem te dwa dlatego przede wszystkim, że mają one typową wymowę społeczną. Uczeń, który nie wdroży się w pilność — nie będzie umiał systematycznie pracować. Młodzież, która przechodzi przez studia metodą zrywów, nie będzie umiała rytmicznie wykonywać planów produkcyjnych. Młodzi, którzy nie nauczą się szanować swych osobistych rzeczy, wyrosną na ludzi lekceważących dobro publiczne, marnotrawiących grosz publiczny. Dzieci, które nie mają pojęcia o istnieniu obowiązków wobec domu, wobec szkoły, innych niż to, co zostanie bezpośrednio wymuszone, wyrosną na egoistów w życiu publicznym.

A te właśnie niedowłady płyną nie z braku inteligencji, ale z braku wykształconej woli, braku dostatecznie wyrobionego charakteru. Nie chciałbym jednak być posądzony o czarnowidztwo. Podkreślam raz jeszcze, że nasza młodzież jest ciekawa i wartościowa. Jest tylko zbyt jednostronnie wychowywana tak przez rodziców, jak i szkołę czy organizacje społeczne typu harcerstwa. Organizacje te trudno dziś winić, gdyż w bardzo ciężkich zadaniach nie znalazły dostatecznej fachowej pomocy. Nie wiem, co się w tym zakresie czyni dla podniesienia kwalifikacji pedagogicznych nauczycieli. Obserwuję jednak, że na skutek przepracowania nauczyciele stają się coraz bardziej wykładowcami, a coraz mniej wychowawcami. Harcerstwo nie potrafiło sobie w nowym okresie stworzyć własnego stylu wychowawczego. Jak wykazała szeroka dyskusja, z której wyciągnięto już szereg konstruktywnych wniosków, harcerstwo było nudne, zbyt „dorosłe" i chyba niesłusznie zerwało z niektórymi dobrymi osiągnięciami przedwojennymi na tym odcinku. Bez popadania w styl elitarny i trochę zanadto militarystyczny, powinno moim zdaniem zatrzymać jednak samą formę organizacji zdyscyplinowanej, wyrabiającej hart i wytrzymałość, wyżycie się w przygodzie poprzez wycieczki i obozy, kontakt z przyrodą, kontakt z szerokim życiem.

Potrzebne są ciekawsze, bardziej dostosowane do zainteresowań młodzieży książki, no i bogatsze czasopiśmiennictwo młodzieżowe i dziecięce, które jest u nas specjalnie dotkliwie zaniedbane.

Potrzebne jest przede wszystkim szerokie uwzględnienie problematyki wychowawczej w publicystyce. Cenne są oczywiście podstawowe dyskusje nad problemem naszej młodzieży. Ale na tym się rodzice nie uczą wychowywać dzieci. Rodzicom, zwłaszcza tym młodym, pochłoniętym życiem zawodowym, potrzebne są praktyczne rady doświadczonych pedagogów i to pedagogów, którzy znają problematykę od jej indywidualnej, właśnie domowej strony, a nie od strony doświadczeń uogólniających, jakie dają przedszkola, szkoły, świetlice *).

A przede wszystkim musimy wdrożyć w dorastające pokolenie przekonanie, że rodzina jest instytucją o wielkim społecznym znaczeniu, w niczym nie mniejszym niż zakład pracy czy aktywność społeczna i że nie jest tylko, wbrew pomysłom naszych neo-liberałów, eksperymentem erotyczno-psychologicznym dwojga młodych ludzi.

Wojciech Kętrzyński

*) Tego rodzaju cenna inicjatywa została podjęta np. w Lublinie, gdzie zorganizowano specjalne wykłady dla rodziców.

Dokończenie ze str. 1

da, do dziś jeszcze wspominając tamto, objaśnia „a walić to się waliło pełną butelką, odpowiednia ciężkość w ręku była". Raz też poszło o pewną Stefę z sąsiedniej Draganowej. Stefa miała perkaty nos i była starsza od Mietka o dobre parę lat. Krajanka. Wesele poszło piorunem. Wkrótce po weselu syn. Stefa schudła i zbrzydła. Rodzice byli urażeni. O weselu zawiadomiono ich po ślubie. Tego nie bywało. Wkrótce Mietka wzięto do wojska. Poszedł do szkoły podoficerskiej. I tam mu się spodobało. Gdy go jednak namawiano: Zostańcie na zawodowego — Mietek odpowiedział — „Nie" i wrócił do cywila.

Żona tymczasem zamieszkała u jego rodziców. Dziadkowie na swoim półtoramorgowym gospodarstwie troskliwie opiekowali się wnukiem. Najmłodszy Szewczyk odziedziczył we wsi przezwisko po pradziadziu. Wieś była bowiem tradycyjna w obyczajach. Mietek wrócił do domu, pokręcił się, zostawił trochę pieniędzy, żonę, syna a sam poszedł do PGR Zawadka. To już nie był „Zachód".

PGR Zawadka to był wschód. Nie od rzeczy będzie trochę w tym miejscu się zatrzymać. W Zarządzie Rolnym w WRN w Rzeszowie pokazują na mapie tereny od Dukli, szerocki pas wzdłuż granicy południowej ciągnący się na wschód, zagarniający południowe tereny powiatu krośnieńskiego, sanockiego i leskiego, to ziemia Łemków. Ludność z tych terenów została repatriowana w większości do ZSRR. Przez pierwszych parę lat zarastały dzikim lasem nieużytki. Pudełkowate domy porządnie rozebrane i przewiezione na wozach walnie wspomogły odbudowę zniszczonego pasa przyfrontowego. — Jak wygląda osadnictwo na tych terenach — pytam. — PGR-y — odpowiada zastępca przewodniczącego Woj. Zarządu Rolnictwa. Spółdzielni się raczej nie zakłada. Indywidualne osadnictwo nie jest przewidziane. Główny nacisk kładzie się na PGR-y. Około trzech tysięcy hektarów ma iść pod pług. Reszta to użytki zielone. Hodowla. Bacówki. Zresztą dokładnych cyfr podać nie mogę. W tej chwili przeprowadzane jest rozgraniczanie terenów polnych od leśnych.

Do takiego to PGR Zawadka trafił parę lat temu zdemobilizowany żołnierz Mietek. Został traktorzystą. — U nas oponowe traktory używano tylko do transportu albo do bronowania — opowiada. Traktor musiał karczować korzenie, wyrównywać wądoły. Wywalaliśmy już spore jodełki. Praca była ciężka, ale fajna. Tak ją charakteryzuje. Kierownik był swój chłop. Z tych pionierskich czasów poszedł do milicji. Dziś jest w Miejscu Piastowym. Bardzo łatwo go tam odnaleźć.

Historia milicjanta Mietka potrzebna mi będzie jeszcze w tym reportażu. Na razie wystarczy tyle. Mietek jest człowiekiem — jakby się powiedziało — społecznie postępowym. W pewnym stopniu zobowiązuje go do tego mundur. Ale swymi poglądami wieś X omija z daleka. Ojców nie da rady przekonać. Zresztą do czego ich przekonywać, do tej skazanej na zagładę spółdzielni? Rozmawia z Jontkiem o polityce. Obaj mają zainteresowania poszukiwaczy. Może co z tego wyniknie. W każdym razie jest jednym z żołnierzy o k r ą ż e n i a.

Brat jego, Marcin, miał ochotę do majstrowania, był chłonny wiedzy. Pracował najpierw w Krośnie. A teraz poszedł dalej na „Zachód" do Oświęcimia. Chodzi na wieczorowe kursy wszystkie dostępne — szewskie, krawieckie. Może się przydadzą. Pisuje do domu kilometrowe listy zaczynające się od starego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". I z niego wyrasta człowiek, który przeciwstawi się ojcom. Tych na „Zachodzie" jest dużo, stanowią siłę nie mniejszą niż zachodnie radio. Ale siła ta słabnie przez to, że ojcowie pracują sami na hektarowych gospodarstwach, borykają się, co tu dużo mówić, z nędzą i w tych gospodarstwach nie widzą perspektyw dla swoich dzieci.

Ojcowie traktują często ten nowy „Zachód" jako dawną „Ameryke", z której należało z dorobkiem wrócić na swoje i dokupić przynajmniej ten mórg pod lasem. Kto zaś nie wracał, ten przepadł dla ojcowizny.

Dzieci nie potrafią jeszcze ojcom wytłumaczyć, że ten „Zachód", to swoje, to Polska. Tego problemu „Zachód" nie da się tak łatwo obalić. W ten problem „Zachód" zaangażowany jest bezpośrednio każdy z mieszkańców wioski X.

IV

JACY są ludowi bohaterowie tych stron? Na pomniku w Krośnie drzemie Ignacy Łukasiewicz, w Żarnowcu umarła Konopnicka. Ignacy Łukasiewicz, dobry człowiek, roztropny społecznik i mądry wynalazca, własnym talentem uwikłał się w sieci kapitalizmu. Został wchłonięty. Zrzekł się dochodów dla dobra ludzkości, te jego dochody z nieopatentowanej lampy zaczęły wysysać różne większe rekiny i mniejsze rekinki ze spółek eksploatacyjnych. Dziś stoi w Krośnie przed pocztą z głową zwieszoną i staroświeckim modelem lampy. Jego biografia byłaby piękną, mądrą i pouczającą biografią, ale nie byłaby to biografia ludowego herosa.

Maria Konopnicka umarła w Żarnowcu. Są tam szerokie pola nad Jasiołką, na jesieni są to pola bardzo smutne, koloru burej wody toczonej przez rzekę Jasiołkę. Zresztą dojechać trudno. Most dziurawy. Korespondentka „Trybuny Ludu" zwiedzając tereny przyszłego muzeum Konopnickiej, wiele żółci wylała na ten most. Ale i teraz jadąc samochodem, wysiadłbym przed mostem i wolałbym iść piechotą. Pejzaż wiejski i strzechy: „Tam się kryje biała chata pod słomiany dach, przy niej wierzba rosochata". Stary dworek zapada się w ziemię. Ludzie pracują w pobliskiej rafinerii w Jedliczu. Dzieci uczą się w szkole o Konopnickiej. Pamięć o niej przetrwała życzliwa, wdzięczna. Ale nie ona — poetka wioskowych krajobrazów — jest bohaterką ludową. O kim innym opowiada się legendy.

Działali tu różni ludowi politycy, pozostali w anegdotach Stojałowski, Stopiński, gdzieś nie tak znów daleko uniwersytet w Gaci. To już jest odległa przeszłość. Najchętniej opowiadają starzy mieszkańcy Żarnowca o ks. Okeniu, który jeszcze przed tamtą wojną forsował w narodzie swą poselską kandydaturę rozrzucając z powozu ulotki wyborcze. Tekst jak tekst, mało kto mógł przeczytać, ale obrazki na odwrocie były ładne. One brały. I głosowano na księdza Okonia.

Ogromnie fantastyczne historie opowiada się teraz o niejakim Cieśli. Cieśla jest na ustach wielu. W czasie wojny był postrachem Niemców w B. Ch. Wypruwał z nich kiszki, nie przepuszczał żadnemu znaczniejszemu. A po wojnie... — To jest osiągnięcie w skali ogólnopolskiej — mówi Mietek — to ujęcie Cieśli. Ponad trzydzieści morderstw, wiele rabunków. Jedenaście lat deptaliśmy mu po piętach.

A o Cieśli opowiadają ludzie, że zawsze jest spokojny, opanowany, że zadowolony, nigdy się nie denerwował, mógł zrobić, co tylko zapragnął. Co tylko zamarzył. Opowiadają, że jest węgierskim synem żołnierza - bohatera, który kwaterował tam kiedyś za Austrii pod Duklą. A ujęli go w komorze u dziewczyny jak Janosika. Powiedział im, poczekajcie, pójdę tylko się pożegnać. Wszyscy czekają z zapartym tchem procesu. Na wsi bogate są tradycje partyzanckie i zwykłych bandziorów. Do tej pory jest jeszcze niespokojnie. W lasach chodzą wilki i ludzie, tacy, owacy. Różnie mówią. Mówią, że to na odmianę tak chodzą. Sam rozmawiałem z człowiekiem, który dostał cztery wyroki śmierci. Tak to się jeszcze ludzie zabawiali w tych stronach.

Ale i tu następuje okrążenie. Zbrojne okrążenie. Procesy. Proces Kuligów, którzy zamordowali księdza. Przygotowuje się proces Cieśli i proces Władusia Cichaczyka, którego w mundurze wojskowym ujęto na „Zachodzie". Te procesy to jest wkroczenie sprawiedliwości. Prawdziwej sądowej sprawiedliwości, gdzie jest prokurator i obrońca i komplet sędziowski. Ta sprawiedliwość wyjaśnia, że jest normalnie, że nareszcie jest normalnie, ona kompromituje wielu ludowych herosów, odsłaniając ich zgniliznę moralną. To już nie są represje wojskowe akcji „W", to jest pokojowe załatwianie sprawy i co więcej bardzo energiczne. Tu idzie o k r ą ż e n i e w mundurach, z odbezpieczonymi karabinami.

Może w przyszłości wyjdą nowi bohaterowie. Jedno jest pewne: bohaterów nie można narzucić. Pomniki będą stały nadal w stosach zmurszałych wieńców, a legendy będą opowiadały o kimś, kogo tropy zawiodą — żeby tak naiwnie i metaforycznie powiedzieć — do środka duszy chłopa z Kopytowej.

V

ZNAJDUJĘ się w Żarnowcu. Nauczyciel Stelmach, kierownik szkoły — czyta artykuł. Ten artykuł musi się ukazać w prasie, musi poruszyć opinię, aby stanęła tu szkoła — pomnik Konopnickiej. Jest tam i o pastuszych fujarkach i o władzy ludowej i o sali gimnastycznej. A także o tym, że ta szkoła musi być inna — monumentalna. Nie można jej budować według standartowych wzorów.

W tej samej wsi Żarnowiec widziałem u młodego historyka sztuki łóżko: a w łóżku kolekcję ślicznych ornatów, strzępów dawnych tkanin: tureckich, rosyjskich, z jasielskiej manufaktury. Pod ścianami stały drewniane, gotyckie „piękne madonny", z których ręka obecnego właściciela pozdzierała biało-niebieskie szatki i róż z policzków, ukazując resztki starej polichromii. We wsi się Leszek S. nie chwali. Uważają go trochę za wariata. Ale ma kolegów, Zbyszka Wawszoraka i innych z jedlickiego gimnazjum. Oni tworzą nową kadrę inteligencką, mocno zrośniętą z rodzinną wsią. W tymże Żarnowcu widziałem u młodego miłośnika teatru album zawierający zdjęcia kilkunastu ról Modrzejewskiej. Od pierwszych jej występów, aż po jedną z ostatnich — rolę Antygony. W tymże Żarnowcu spotkałem pana Zygmunta Wawszoraka, który jest kulturotwórcą, jeszcze jednym *signum* tych stron. Ten Zygmunt Wawszorak dochodzi siedemdziesiątki i gotuje się do pięćdziesięciolecia swej pracy nauczycielskiej. Z szafy wyciąga czerwone pudełko, a w pudełku tym spoczywa sztandar pracy II-ej klasy. Siedemnastu nauczycieli w Polsce w ten sposób odznaczono.

Ten Zygmunt Wawszorak rozpoczął pracę wraz z ojcem w rodzinnym Cieklinie za Żmigrodem. Potem zmieniał posady, aż osiadł w Polanach. W Polanach uczył 27 lat.

Był jednym z najlepszych mówców, miłośnikiem folkloru i doskonałym nauczycielem. Wiele pokoleń uczniów wspomina go ze czcią. Po wojnie został kierownikiem szkoły w pobliskim Potoku. Dziś jest nauczycielem w Żarnowcu. Jego monografia Perukowszczyzny zginęła w rękopisie podczas ostatniej wojny. Nie może jej odtworzyć, czerpał bowiem materiały u zagranicznych bibliotek. Zna każdą pamiątkę tej ziemi i wielu synów tej ziemi on wychował. Jest nadal żywy i energiczny. Nic się nie zmienił od lat kilkunastu i pewnie długo jeszcze się nie postarzeje.

Jego żona mówi: Mąż musi pracować, praca, to dla niego życie.

Wspomniałem o jedlickim gimnazjum. Powstało w 44 założone przez mgr Dubisa w dawnym pałacu Stawiarskich. Z tego gimnazjum wyszło wiele młodej inteligencji. Leszek S., Zbigniew Wawszorak i inni, których co krok spotyka się w Żarnowcu i Jedliczu.

To jest trzeci zagon okrążenia — młoda inteligencja. To bardzo zdolna młodzież; przychodzi na wieś silniejsza od Judymów, bo przychodzi do siebie. Gdy są pilniejsze roboty w gospodarstwie, w miarę czasu przyjeżdża pomóc rodzicom. To już nie jest proces najnowszy. Tu już są tradycje. Są one w wysokim poziomie kulturalnym dawnych tutejszych działaczy. W pracy nad rozbudzeniem ich zainteresowań i nad tworzeniem odpowiedniej atmosfery od 50 lat pracują ludzie typu nauczyciela Zygmunta Wawszoraka.

VI

SPOKOJNE, pobielane podcienia otaczają kocci bruk rynku, pamiętający jeszcze czasy Porcjuszów. Po podcieniach pałętają się ludzie: jakaś dziewczynka — osiemnastolatka w żółtej, ciuchowej sukience opala nogi siedząc na kamiennych stopniach. Z daleka widać ruiny Odrzykonia, gdzie Cześnik kłócił się z rejentem o mur graniczny.

A do wozu zaprzęga chłop z Kopytowej. Charakter tej ziemi to charakter chłopa z Kopytowej. To jest charakter tej ziemi. Inni próbowali ten charakter fałszować, my chcemy ten charakter zmienić. Siły okrążenia są w pełni mobilizacją. Z wszystkich stron trzeba obejść dokoła i zamknąć pierścień.

Chłop z Kopytowej spokojnie zaprzęga konia i ani przeczuwa, co go czeka.

Tu się czuje autentyczny patos współczesności.

Jacek Łukasiewicz

JERZY OLKIEWICZ

MOWA KWIATÓW - albo o wystawie Jana Cybisa

PODZIWIAM młodość Cybisa. Podziwiam spontaniczność jego malarstwa, entuzjazm i radość widoczne w każdym obrazie. Na wystawie tego majstra — malarza w sile wieku — odkrywa się świeżość, bezkoturnowość, prostotę — cechy, których często brakuje malarstwu młodych.

Cybis wydobywa z koloru nie tyle ekspresję, co ogromny ładunek ciepła: emocji łagodnej, szlachetnej, umiarkowanej. Piękno Cybisa jest dyskretne. Nie narzuca się widzowi. Cybis rozmawia bez podnoszenia głosu, bez sztucznych efektów, bez gestykulacji. Opowieść jego jest pełna uroku i spokoju. Ponieważ wie, o czym ma mówić i określa granice swojej elokwencji — potrafi powiedzieć dużo.

Świat Cybisa jest bogaty przez to, że jest mały. Jest to świat kwiatów i zieleni. Świat tego, co najmniej pretensjonalne, najbardziej wdzięczne i kolorowe. Cybis jest ogrodnikiem, który wszędzie widzi kwiaty. Z kwiatów buduje pejzaż. Jego wszystkie obrazy — to bukiety.

Na wystawie nie ma martwych natur. Cybis świadomie unika tego słowa nawet przy podpisach w katalogu. Wie, że martwa natura to pojęcie szerokie, wieloznaczne i nieprawdziwe. To wielkie, obszerne królestwo, z którego można wykroić olbrzymią ilość poszczególnych znaczeń, poszczególnych przedmiotów bynajmniej nie martwych. Cybis nazywa te przedmioty po imieniu. Rozumie je zbyt dobrze, żeby nazywać uogólnieniem. To jego świat, który ożywia. Niepowtarzalna, cybisowska flora.

Miarą artyzmu Cybisa jest jego niechęć przed łatwym efektem. Cybis jest malarzem kolorowym, ale nie jest pirotechnikiem. Jest za prosty na to, żeby być fałszywy. Za uczciwy, żeby robić coś bez pokrycia. Nie jest magikiem. Zamiast królika wyciąga spod kapelusza prosty bukiet kwiatów.

Konkretność malarstwa Cybisa nie jest konkretnością formalną. To raczej konkretność emocjonalna, prawda przeżycia, która przekonuje widza. W obrazach Cybisa więcej jest botaniki, niż architektoniki. Cybis buduje swoje malarstwo z materiału delikatnego a nawet kruchego. To nie mosiężny kocioł, w który się wali grubą pałką. To prosta, ale wytworna porcelana. Obrazy Cybisa to muzyka porcelany.

Wystawa ma charakter polemiczny. Nie jest zbiorem recept na to, jak należy malować, ale konkretną wypowiedzią malarza. Wypowiedź ta swoją rzetelnością bardzo odbija się od wielu naszych wystaw w ostatnich latach. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia często byliśmy świadkami koronacji malarskiej miernoty. Nawet echa ostatniej wystawy w Arsenale były nierzadko próbami natychmiastowego wyciągania na tron młodych ludzi, którzy po raz pierwszy wystawiali swoje prace na publicznej wystawie. Skutki takiej koronacji były — i są — opłakane i szkodliwe. Koronę traktowano jak puchar przechodni. Królowie okazywali się cwaniakami albo mistyfikatorami.

Prawdy Cybisa nie są nowe. W tych prawdach jest zawarty mocny kawał historii polskiego malarstwa. Ta wystawa jest jakimś stałym punktem pośród ruchliwej i zmiennej plastycznej koniunktury. To wystawa człowieka, który dużo pracował i który ma coś do powiedzenia. Cybis nie fabrykuje malarskich tajemnic, nie stara się być „interesujący" przez niejasności. W swojej prostocie jest zdrowy i mimo złożonej malarskiej faktury — klarowny. Jest przy tym ogromnie konsekwentny. Linia rozwoju sztuki Cybisa to linia prosta. Nie wygina się w żadne wolty. Ta linia wykazuje też stały rozwój malarstwa Cybisa. Ostatnie obrazy: „Bukiet i waza", „Bukiet w kuflu śląskim" czy „Koszyk z jabłkami i butelką wina" zapowiadają już nowy okres jego malarstwa — okres, w którym dochodzą do głosu mocniejsze kontrasty walorowe i prostsza faktura. Ostatnie kompozycje (1955) w porównaniu z wcześniejszym malarstwem — nerwowo rozwibrowanym — wykazują jakąś wyraźniejszą stabilizację, tęsknotę do sztuki klasycznie spokojnej.

Faktura obrazów Cybisa jest bardzo indywidualna. Cybis nie zrobił ze swojej techniki jakiegoś dogmatu, recepty zawsze biernie wykorzystywanej. To nie jest system, ale narzędzie — wrażliwe, stale ulepszane, żywe.

Obrazy Cybisa są swobodne — brak w nich sztuczności, brak zakłamania. Malowane są z jakąś zapamiętałością, z prawdziwą artystyczną pasją. Dzięki temu są bezpośrednie. Dzięki temu potrafią wciągnąć odbiorcę. A trzeba przyznać, że widz z chwilą wejścia na sale wystawowe musi się przestawić na odbiór tej indywidualnej cybisowskiej mowy. Dyskrecja Cybisa zmusza go do odsłonięcia całej własnej wrażliwości — potrzebnej do wchłonięcia wrażliwości Cybisa. Muzyczna tonacja wystawy nie narzucająca się, ale wyraźna i jasno wyczuwalna; tonacja subtelna, pozbawiona ostrości i brutalności — gwarantuje mu pełnię malarskich przeżyć pod jednym warunkiem: maksimum dobrej woli ze strony odbiorcy.

Cybis jest malarzem bardzo kulturalnym, nie ma jednak nic wspólnego z tzw. estetyzowaniem. Estetyzowanie jest bardzo często namiastką — fałszywym surogatem malarskiego myślenia. Często nie mając nic do powiedzenia — to nic mówi się w sposób pozornie piękny. Cybis potrafi mówić pięknie, mając wiele do powiedzenia.

Ciekawa była na otwarciu wystawy Cybisa reakcja Diego Rivery — głośnego meksykańskiego malarza, który przejazdem odwiedził Warszawę. Głos Rivery, to głos najbardziej przekonujący — ponieważ ten Meksykańczyk stoi na pozycjach artystycznych krańcowo różnych od ideałów Cybisa. Deklaratywność, literackość, programowy antyestetyzm Rivery nie przeszkadza mu — jak widać — być w ocenach malarstwa człowiekiem bezstronnym i — o dziwo dla wielu jego wrogów — uczciwym. Rivera zachwycał się obrazami Cybisa.

Trudno nazwać Cybisa malarzem w pełni współczesnym, programowo współczesnym. Sztuka Cybisa jest kameralna i nawet jej nerwowość jest utrzymana w ryzach. Cechą sztuki, najcharakterystyczniejszej — być może — dla naszej epoki — sztuki Picassa czy Legera jest monumentalizm niewolny od pewnej krzykliwości i brutalności. Ta niewspółmierność Cybisa jest jednak pozorna — skoro tak bardzo potrafi wzruszać.

Wystawa Cybisa jest dowodem na to, że wszystkie hasła, recepty, postulaty malarskie aranżowane przez nie-malarzy milkną z chwilą gdy do głosu dochodzi artysta.

Zdjęcia Jana Cybisa nie można nazwać „zdjęciem malarza w pracowni" z tego prostego powodu, że Cybis pracowni nie ma. Maluje w małym, ciasnym pokoiku, nie mając ani dość przestrzeni, ani dość światła. Ten pokój nadawałby się prędzej na pracownię dla jego syna — młodego Jana Cybisa (na zdjęciu) — który także maluje — ale nie na pracownię dla jednego z najwybitniejszych polskich malarzy.

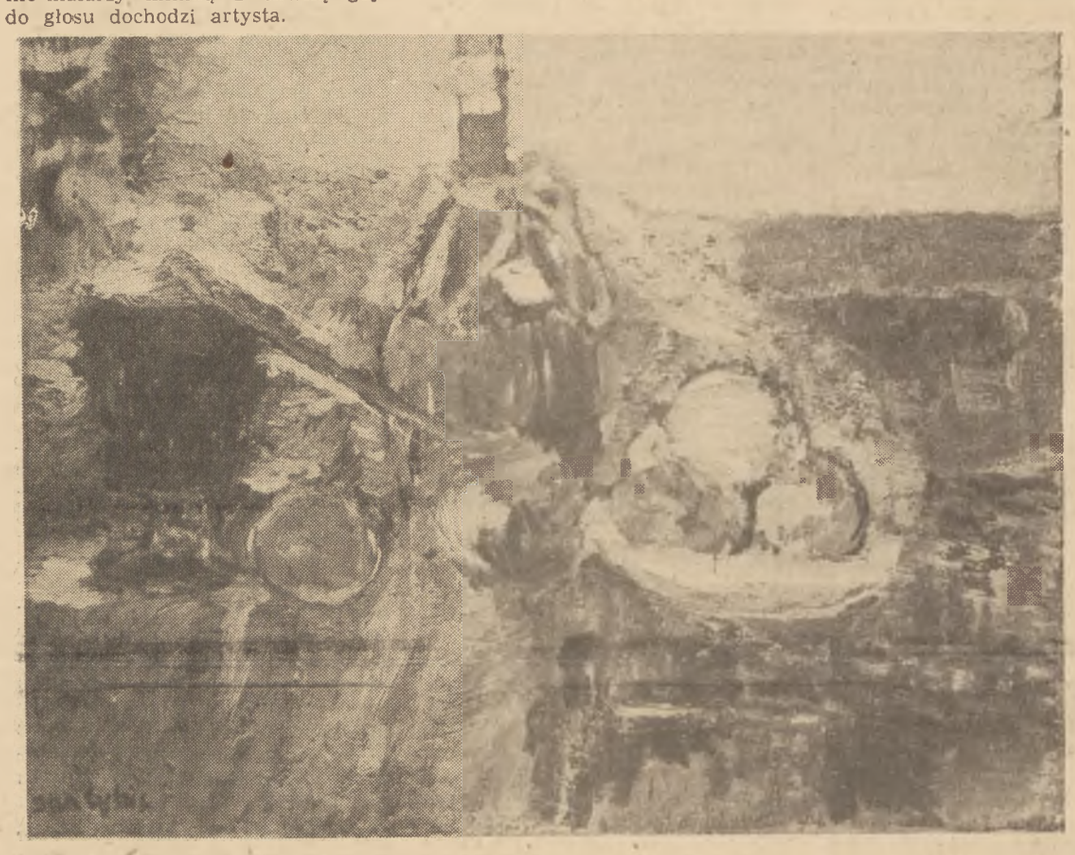

Kwiaty, owoce i butelka

Białe kwiaty

JERZY STADNICKI

A JEDNAK ŻYJEMY!

ŻE nie istotne? Moim zdaniem istotne. Nawet dziesięciominutowe wyłączenie prądu, o ile nastąpiło bez uprzedzenia może spowodować katastrofę. Wystarczy wyobrazić sobie chirurga dokonującego w tym czasie operacji. Że takie dramaty nie zdarzają się w życiu? Zdarzają się. Zdarzyły się niedawno w jednym ze szpitali warszawskich, jak poinformował nas „Ekspres". Że to wina administracji szpitala? Że przepisy nakazują, aby sale operacyjne były wyposażone w dodatkowe źródło światła? Zapewne, jednakże w praktyce nie wszystkich przepisów się przestrzega, nie wszystkich można przestrzegać. Że użyłem przykładu szczególnie ostrego i dość wyjątkowego? Prawda, ale nie potrzeba się doń uciekać, by wykazać, że nagłe pozbawienie ludzi prądu może być bardzo brzemienne w skutki. Wystarczy sobie wyobrazić otwartą klapę w piwnicy, niezakręcony kurek od gazu, igłę w żyle chorego. Wystarczy pomyśleć o sytuacjach daleko mniej dramatycznych, nabitych guzach, zgubionych przedmiotach, stłuczonych naczyniach. Że w czasie wojny przeżywaliśmy gorsze rzeczy, a jednak żyjemy? Że pełno jest większych i mniejszych dramatów, którym nikt nie jest winien, bo spowodował je tzw. los, fatum, przypadek, zbieg okoliczności? Po kolei. Darujemy sobie analogie wojenne, bo jeżeli zaczniemy używać takich argumentów, to nigdy się nie porozumiemy. Co się tyczy „losu", pod jakąkolwiek występowałby nazwą, to istotnie, pełno jest takich nieszczęść, kórym nikt nie jest winien, trzęsień ziemi, powodzi, epidemii. Natomiast, jeżeli człowiek umrze dlatego, że elektrownia wyłączyła prąd w chwili, gdy chirurg dokonywał tracheotomii — to wybaczcie, ale tej śmierci będzie winien dyżurny elektryk.

Że nasze niezdyscyplinowane społeczeństwo, mimo wielokrotnych wezwań elektrowni, nie chce oszczędzać prądu, włącza różne maszynki, gorzej: dokonuje manipulacji na lewo? To rzeczywiście poważne oskarżenie społeczeństwa, ale żadną miarą usprawiedliwienie elektrowni. Bo nie chodzi o wyłączenie prądu, lecz o wyłączenie bez uprzedzenia. Elektrownia może uprzedzić na tyle sposobów! Swojego czasu we Wrocławiu było wiadomo, że prąd zostaje wyłączony w takim a takim dniu dla takiej a takiej dzielnicy: więc w poniedziałek dla Karłowic, we wtorek dla Sępolna itd. Można dać ogłoszenie w prasie albo przez radio. A jeżeli i to nie możliwe, jeżeli przyczyna jest nagła, to zawsze można uczynić jedno: ściemnić światło na pięć minut przed wyłączeniem, względnie — parokrotnie „mrugnąć".

To jest najistotniejsze. O to chodzi, tu boli. Że jeden urzędnik czy technik lekceważy setki tysięcy możliwych katastrof, czy choćby możliwych zdenerwowań. Nikt nie ma prawa wzruszać ramionami nawet na cudzy zły humor, tym bardziej na zły humor miasta, tym bardziej na ułamek procentu możliwości jednego nieszczęścia. A kto wzrusza ramionami, ten jest albo złośliwą figurą, nadającą się do więzienia, albo nieodpowiedzialnym kretynem, nadającym się do Tworek.

Że ten „ktoś" z elektrowni na pewno nie jest ani jednym ani drugim, ani przestępcą ani głupcem? Na pewno. Na pewno jest sympatycznym, 35-letnim brunetem z ładną żoną i dwojgiem grzecznych dzieci. Na pewno jest o sto mil od idiotyzmu i dwieście od zbrodni. Tym gorzej. Chyba tym lepiej? Nie. Tym gorzej. Dlatego tym gorzej, że nie widzi w swoim postępowaniu nic złego, że myśli „o — wa, wielkie rzeczy", że tak samo myśli jego podwładny, zwierzchnik i cała elektrownia, że tak samo myślą tysiące Polaków, że ta postawa jest zbyt często typowa.

Że można wyliczyć mnóstwo podobnych bolączek. Np. identyczne przyjemności z gazem, wodą, lecznictwem, kolejami, sklepami. Jakichś Bogu ducha winnych użytkowników centralnego ogrzewania podłącza się bez ich zgody do źle funkcjonującej elektrociepłowni i — niech się martwią, że im zimno. Jacyś kawalerowie skazani na uspołecznione pralnie dowiadują się ze zdumieniem i bólem — lecz po niewczasie — że pralnia nie przyjmuje reklamacji za zaginioną bieliznę (naprawdę!) i że takowe trzeba kierować do centrali, gdzie z kolei okazuje się, że tylko w środy, w które z kolei okazuje się, że proszę napisać podanie (naprawdę!) itd. Albo tylekroć już poruszana sprawa remanentów i przyjmowania towaru w sklepach: wiesz, że sklep jest otwarty w określonych godzinach, fatygujesz się specjalnie — trudno, bo remanent, trudno, bo przywieziono śledzie. Chlubny wyjątek w tym łańcuszku samoudręczenia stanowią tramwajarze warszawscy, którzy w wypadku zmiany trasy informują wsiadających na każdym przystanku. Oni jakoś rozumieją, że czas stracony na jeden przejazd może oznaczać życie, zdrowie, powżaną kwotę pieniężną. Natomiast o ignorowaniu zasady uprzedzania w naszym lecznictwie można by napisać tomy Czy lekarzom rejonowym, udającym się na urlop, przychodzi do głowy poinformować stałych pacjentów, że w danym okresie będą musieli się zwracać do kogo innego? Czy rzadkie są przypadki przepisania lekarstwa wzgl. zabiegu leczniczego bez najmniejszej wzmianki o trudnościach w jego realizacji? Czy zorganizowano elementarny system informowania klientów aptek o przewidywanych trudnościach zaopatrzenia w niezbędne lekarstwo? Czy to wszystko, mutatis mutandis, nie da się odnieść do wielu urzędów, a nawet takiej instytucji jak Orbis, który został przecież stworzony dla informacji.

Udając się w podróż służbową, poszedłem na kolej kupić bilet. Kasjer mnie ostrzegł: — Proszę pamiętać, że w połowie drogi jest przesiadka. Pociąg miał opóźnienie, nie złapałem połączenia w tej miejscowości. Widząc moje strapienie dyżurny ruchu powiedział: — Niech pan się nie martwi. Za godzinę odjeżdża pociąg do tej samej miejscowości, ale okrężną drogą. Odparłem: — Niestety, nie mam pieniędzy na dopłatę. — Nic pan nie dopłaci, powiedział dyżurny, gdyż nie pan, tylko kolej ponosi winę za opóźnienie. Dojechawszy na miejsce dowiedziałem się, że cała podróż była zbyteczna, ponieważ człowiek, do którego mnie wysłano, przebywa na wczasach. Wówczas zakład pracy wypłacił mi odszkodowanie za niepotrzebne zmęczenie.

Gdzie i kiedy zdarzyła się ta niesłychana historia? Nigdzie i nigdy. Jest pobożnym marzeniem o stosunkach, które mogłyby i powinny panować, lecz nie panują. U nas uważa się, że podróżny kupuje bilet na własne ryzyko, użytkownik korzysta z elektrowni na własne ryzyko, klient udaje się do sklepu na własne ryzyko. Całe nasze życie opiera się na ryzyku. Żyjemy w jakiejś wielkiej loterii. Elektrownia ma prawo wyłączyć prąd, kiedy to uważa za słuszne. Kierownik sklepu ma prawo zamknąć drzwi przed nosem, kiedy przywiozą beczkę śledzi. Kotłowy ma prawo mniej palić w kaloryferach, gdy dojdzie do wniosku, że nie wyliczy się z węgla. „Delikatesy" mają prawo opatrzyć jajko etykietką „dietetyczne" (?!) i dobijać do niego 30 groszy. Urząd ma prawo przyjąć mnie wywieszką: godziny urzędowe przesunięto. Lekarz ma prawo przepisać nieziszczalną receptę. Pociąg ma prawo się spóźnić.

A moje pieskie prawo jest. zapłacić drugi raz za bilet, iść drugi raz do urzędu, siedzieć w ciemnym pokoju, umrzeć z braku lekarstwa.

Zastanawiam się, kto wymyślił to prawo? Chyba J. J. Rousseau, autor teorii o umowie społecznej, nawiasem mówiąc — błędnej teorii, w myśl której stosunki międzyludzkie układają się same przez się na zasadzie wymiany usług. Jeden lubi muzykę — drugi gra na harmonii, jeden chce zjadać śledzie — drugi je sprzedaje, jeden chce podróżować — drugi buduje kolej, jeden ma ochotę chorować — drugi leczy. Jasne, że w myśl tej koncepcji, komu nie smakują śledzie — może ich nie jeść, kogo nie stać na bilet — siedzi w domu, kto nie może się leczyć — umiera. Jak wiadomo, na tej podstawie funkcjonuje społeczeństwo kapitalistyczne, które się szczyci wolnością, wolnością słowa, myśli, prasy, kalectwa, bezrobocia i śmierci. Jak również wiadomo, społeczeństwo socjalistyczne funkcjonuje na zasadzie nie lesseferyzmu, lecz praw. Tu nie mówi się: wolno ci iść do lekarza, jeśli cię na to stać, tylko: masz prawo do pomocy lekarskiej. Tu handel nie jest instytucją w swym założeniu dochodową, lecz usługową. Wielka różnica i korzyść na tym właśnie polega: tam wszystko jest w jakimś sensie interesem, tu wszystko jest w jakimś sensie usługą. Tam nawet szkolnictwo powinno się opłacać. Tu nawet loteria powinna służyć

Dezyderat, by kolej zwracała pieniądze w razie spóźnienia pociągu, jest prawdopodobnie grubo przedwczesny. Natomiast nie jest nim może dezyderat, by urzędy nie zmieniały godzin urzędowania, sklepy nie były zamknięte, elektrownia nie wyłączała prądu — bez uprzedzenia użytkowników. By nie stawiano ludzi wobec faktów dokonanych Stawianie wobec faktów dokonanych jest charakterystyczne dla kapitalizmu: wczoraj płaciliśmy dywidendy, dziś nie płacimy, bośmy zbankrutowali. Socjalizm nie zna pojęcia bankructwa. Socjalizm musi płacić swoje „dywidendy", tzn. swoje usługi, bo ludzie ich potrzebują, choćby było czterdzieści stopni mrozu, epidemia, pożar czy potop.

Z drugiej strony w socjalizmie nikt nie ma prawa powiedzieć: zapłaciłem, więc korzystam. Kupiłem bilet, więc mnie nic nie obchodzi, że pociąg się wykoleił. Przeciwnie. To nas obchodzi. Ale lekarza musi obchodzić nie tylko zbadanie pacjenta i zapisanie recepty, lecz i możliwość jej realizacji. Kupca muszą obchodzić klienci marznący w ogonku. Elektrownię musi obchodzić skalpel w brzuchu chorego, otwarte drzwi do piwnicy, egzamin i nawet...

...nawet zakłócona rozrywka człowieka pracy.